TYDZIEŃ

Nr 43 (67) ROK II

26. X. 1947

CENA 20 ZŁ

WARSZAWA PRZED STU LATY

•

DYSKUSJA »O DUSZY GEFANGENA«

•

U GROBU MASARYKA

•



PISZĄ I RYSUJĄ:

E. BARTŁOMIEJCZYK
BOGDAN KAMODZIŃSKI
ZBIGNIEW MITZNER
JAN WIKTOR
JERZY WYSZOMIRSKI
MIECZYSŁAW ZIEMSKI

NASZA OKŁADKA



Rys. E. Bartłomiejczyk
JESIEŃ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

„O dollarro..."

W CIĄGU ostatnich dni włoska gazeta „Unita" zwróciła uwagę społeczeństwa na finansową zależność odłamu Saragata, nazywającego siebie „Partią Socjalistyczną Pracujących Włochów" od amerykańskich gospodarzy w osobach znanych agentów Departamentu Stanu USA Luigi Antonini i jego skarbnika Vanni Montana.

12.10 br. „Unita" opublikowała tekst własnoręcznego pisma sekretarza partii Saragata Faravelli zaadresowane go osobiście do Saragata.

List ten, datowany 17.3.47 donosi Saragatowi, że Vanni Montana zwrócił się do Faravellego ze skargą, że organ saragatowców „Umanita" nie dostatecznie energicznie broni Antonini'ego przed napaścią pism demokratycznych. Cytując słowa Montana, Faravelli uprzedza Saragata, że jeżeli „Pan chce wreszcie otrzymać te dolary, koniecznie należy bezzwłocznie skończyć z wszelkimi prohumanistycznymi nastrojami".

Ten sam list podaje, że Saragat powinien zwrócić się do b. gubernatora wojskowego Rzymu, amerykańskiego pułkownika Poletti, który wyjechał z Włoch „w sprawach osobistych" z tym, ażeby ostatecznie porozumieć się w sprawie utworzenia specjalnego towarzystwa handlowego dla importu towarów, niewymagających licencji. Celem tego towarzystwa, jak podaje list, jest zdobycie finansów dla partii Saragata, przy czym wg słów Faravelli Montana zapewnił w tej sprawie pomoc posła USA w Rzymie Danna, którego nazywa swoim osobistym przyjacielem. Saragat był zmuszony uznać autentyczność listu.

Złota kaczka

W strefach okupacyjnych angielskiej i amerykańskiej w Niemczech ogłoszony został przez władze sojusznicze anglo - amerykańskie demontaż niektórych zakładów przemysłowych. Urządzenia tych zakładów służyć mają jako odszkodowanie dla krajów zwycięskich. Mimo iż liczba ich jest znacznie mniejsza, niż było to przewidziane w umowie poczdamskiej, w Niemczech podniosły się głosy gwałtownego protestu, tak, że liczyć się należy z sabotażem ze strony robotników niemieckich przy rozbiórce tych fabryk.

Niektóre z zakładów są dawnymi arsenałami wojennymi Hitlera, fabrykami masowej śmierci. Jest jednak wiele także takich fabryk na liście które służą do produkcji pokojowej — artykułów pierwszej potrzeby. Niemcy twierdzą, iż po pozbawieniu ich tych fabryk zdani będą na łaskę i niełaskę producentów amerykańskich, nie będą także w stanie przyczynić się do odbudowy Europy. „Nie zabija się złotej kaczki, która niesie złote jajka!" — wykrzyknął patetycznie jeden z publicystów niemieckich.

Trochę ma racji — trochę jej nie ma. Bo z tymi jajkami różnie bywało. Jeszcze nie tak dawno miały kształty bomb i pocisków. Poza tym — złoto bywa także materiałem wybuchowym. Grecja może coś na ten temat odpowiedzieć.

tak i nie

Kiedy przyjaciel krytykuje

AMBASADOR Wielkiej Brytanii w Stanach Zjednoczonych, Lord Inverchapel, ma wielkie zmartwienie. Wybrali się bowiem do Europy przedstawiciele amerykańskiego Kongresu, ażeby sprawdzić, czy z tą biedą w Europie to czasem nie maleńka przesada. Przelecieli Starą Ziemię jak błyskawica, wrócili i... brzydko naplotkowali. Że nie jest tak źle. Że sami Europejczycy są sobie winni, bo siedzą z założonymi rękama i nic nie robią. Jeżeli już ktoś potrzebuje amerykańskiej pomocy, to tylko ewentualnie Niemcy. Dzielny naród. A tylko dlatego nie może być samowystarczalny, ponieważ źli Polacy zabrali im Odrę i Nysę. No i tam jeszcze można jeszcze walczyć z lewicą. Fran można jeszcze walczyć lewicą. Francja, jeśli de Gaulle sam sobie nie poradzi, Włochy.

Bardzo się zgorszył tym sprawozdaniem Lord Inverchapel. Ogłosił natychmiast wywiad. Tłumaczy, że to „niedokładność" w sprawozdaniu. Przecież Wielka Brytania stara się jak może, stanąć na własnych nogach. Lord Inverchapel jest głęboko dotknięty krytyką ze strony amerykańskich przyjaciół. Współczujemy mu. Poznał na własnej skórze tę metodę „badań", „obiektywnych informacji", „źródłowych sprawozdań", którą niektóre sfery zachodnie usiłowały niejednokrotnie stosować na naszym polskim gruncie. Ale myśmy się nie tłumaczyli. Szkoda słów i fatygi.

Jednomyślność w ONZ

WRESZCIE jedna sprawa, która na forum Narodów Zjednoczonych uzyskała jednomyślność wszystkich zgromadzonych! Wiadomość tę przywitano oklaskami i dyskretnym, lecz wesołym śmiechem. Chodziło o sztandar Organizacji. Będzie on koloru błękitnego z symboliczną kulą ziemską w kolorze białym pośrodku.

Ku czci ofiar hitleryzmu

W New Yorku odbyła się w tych dniach wielka uroczystość poświęcenia pomnika ku czci 6-ciu milionów Żydów, ofiar hitleryzmu. W uroczystości wzięły udział wielkie tłumy, jak również duchowieństwo katolickie i protestanckie. Specjalny hołd oddano 40.000 Żydów, poległych w obronie ghetta w Warszawie.

Ku czci ofiar hitleryzmu — ku pamięci tych, co zaślepieni własnymi interesami, zapomnieli czuwać nad ję go ostatecznym zlikwidowaniem.

Feudalizm nad kanałem La Manche

U brzegów Normandii, na jednej z wysp będących własnością korony angielskiej w pobliżu Guernsay istnieją po dziś dzień najbardziej zacofane formy feudalne. Wszystkie grunta na wyspie Sark na leżą do jednej właścicielki — pani Hathaway, żony bogatego Amerykanina.

Na podstawie obowiązujących przepisów, żaden z 611 mieszkańców wyspy nie ma prawa posiadania gołębi lub nierogacizny. Każdy zaś musi płacić daniny, od komina w postaci jednej kury rocznie. Nadto obowiązany jest do dwóch dni pańszczyzny rocznie. (p).

Polacy z Westfalii

W roku 1908 wg oficjalnych statystyk pruskich na terenie regencji nadreńsko-westfalskiej mieszkało 320.000 osób, które zadeklarowały język polski jako język macierzysty. Tylko 16% procent było urodzonych na miejscu, podczas gdy 51 procent pochodziło z Poznańskiego, 24 procent ze Śląska i 9 procent z Prus Wschodnich. Ta ostatnia cyfra jest tym ciekawsza, że prawie dwie trzecie Polaków przybyło do Westfalii w latach 1905 — 1908.

Obecnie około 100.000 Westfalaków przyznaje się do polskości. Większa część pragnie powrócić do Polski. Jak podała niedawno niemiecka agencja prasowa Südena ,do dnia 1 października 12.320 Polaków westfalskich pod pisało petycje do Sojuszniczej Rady Kontroli o zezwolenie na powrót do Polski. Jeżeli przyjąć, że rodzina składa się przeciętnie z czterech osób, to okaże się, że około 60 proc. Polaków westfalskich zadeklarowało wyraźnie, że wolą odbudowywać Polskę niż Niemcy. (p).

Rekordy greckiej nietolerancji

GRECKI rząd oddał się cały do dyspozycji amerykańskich kapitalistów, nie chce jednak dopuścić nawet swoich opiekunów do krytykowania istniejących stosunków. Zdarza się bowiem, że „Głos Ameryki" podaje wiadomości o Grecji nieodpowiadające całkowicie pragnieniom reakcyjnych kół w Atenach.

W obawie, aby wiadomości niekorzystne choćby nawet w redakcji amerykańskiej dotarły do społeczeństwa rząd grecki zakłóca odbiór audycji „Głosu Ameryki" przy pomocy stacji brzęczykowej.

Jak donosi jeden z korespondentów amerykańskich przebywających w Atenach, Mowrer, przedstawiciele dyplomatyczni Stanów Zjednoczonych nie złożyli protestu u rządu greckiego, lecz zwrócili się do Waszyngtonu, by w greckich emisjach „Głosu Ameryki" mówiono jak najmniej o Grecji. (p).

Ostrze na ostrze

MÓWIĄC SZCZERZE...

Były minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych — Byrnes — wydał niedawno książkę — pamiętnik z okresu swego urzędowania w Departamencie Stanu o fascynującym tytule: „Mówiąc szczerze".

□

Dlaczego ktoś kolekcjonuje właśnie rzadkie odmiany kaktusów, ktoś inny zaś tylko przedziwne fajki — wytłumaczyć mógłby jedynie chyba Freud na podstawie swej teorii psychicznych kompleksów. Znacznie łatwiejsza jest sprawa ze zbieraczami, których mania kolekcjonerstwa idzie po linii ich zainteresowań zawodowych. Myśliwy zbiera rogi swoich ofiar, podstarzała bohaterka sceny swoje podobizny i recenzje, polityk — w równej mierze aktor i myśliwy — gromadzi swe wspomnienia sukcesów i łowów, ludzi i faktów.

Niektórym, gdy schodzą z widowni i szpalt gazetowych, wspominki te wystarczają. Inni, bardziej uparci, obdarzeni większym temperamentem, a może także zacięciem pedagogicznym — zaczynają pisać. Piszą swoje pamiętniki. I znów — niektóre z nich są mniej lub więcej cennym, mniej lub więcej ciekawym przyczynkiem do późniejszych badań historycznych — inne zaś...

Te inne nasuwają na myśl kuchmistrza, zwolnionego z posady. Źle gotował, nikomu nie smakowało—odsunęli go od kotła. Więc usiłuje się tłumaczyć. Że w kuchni były intrygi. Że on nie winien. Że konkurent z sąsiedniej kuchni mącił mu wodę. Że nasyłano dostawców z nieświeżym towarem. I dalej że — odsłaniać przed niedawnymi konsumentami tajniki nie zawsze higienicznych sztuczek kulinarnych ku wstydowi i zakłopotaniu pozostałych w kuchni kolegów.

Kuchmistrz mówi szczerze... ale czy zawsze prawdę?

□

Były minister Byrnes, jeden ze specjalistów gastronomii politycznej, usiłuje mówić szczerze. Tak przynajmniej twierdzi w tytule swych pamiętników. Z tych słów, które mają wydźwięk ulgi, wynikałoby, że wszystko, co mówił, więcej — co robił, gdy był ministrem — nie było szczere. A była to owa epoka w polityce amerykańskiej, kiedy kraj Jerzego Waszyngtona pod przewodnictwem Franklina Delano Roosevelta ramię w ramię ze Związkiem Radzieckim bił Hitlera i jego sojuszników. Był to czas wielkich słów o przyjaźni i wielkich czynów — owoców tej przyjaźni.

I oto okazuje się, że dopiero teraz, gdy przestał kierować polityką amerykańką — minister Byrnes mówi szczerze. Mówi — że wtedy nie był szczery. Mówi szczerze, że posądza o nieszczerość swojego sojusznika. Że już wówczas były nieporozumienia — to i owo...

Rozbieżności zdań między wielkimi mocarstwami są istotnie. Wielkość Roosevelta polegała jednak właśnie na tym, że potrafił się wznieść ponad te rozbieżności. tak jak to uczynił Związek Radziecki. Równie wielki był cel tego zbliżenia — wyzwolenie narodów świata od zmory faszyzmu. Małość takich ludzi jak Byrnes polega na tym, że tego nie zrozumieli i nie rozumieją do dziś.

Szczerość w polityce... Szczerość w dyplomacji należy do najnowszych wynalazków naszego stulecia. Grobem tajnej dyplomacji miała być Organizacja Narodów Zjednoczonych. Niektórzy jej członkowie potraktowali sprawę poważnie i dosłownie. A więc powiedzieli szczerze i bez ogródek o wszystkim, co boli i gniecie na szerokim świecie. O niektórych zakusach imperialistycznych, o dalszym niebezpieczeństwie pogrobowców faszyzmu, o niektórych poczynaniach różnych podżegaczy wojennych... Bardzo się to nie podobało. Porównano tę metodę szczerości, która miała wypalić ropiejące rany — do siły działania bomby atomowej.

Bo — mówiąc szczerze: Grecja, krwawiąca za amerykańskie dolary... dolarowe chmury nad Dalekim Wschodem... głodna Europa, podpisująca na ślepo weksle drżącą ręką... butwiejące pod strażą wierzyciela zza Oceanu Imperium Brytyjskie i butniejące pod tąże strażą chore jeszcze na nazizm Niemcy...

O tym wszystkim mówią szczerze niektórzy w Lake Succes — siedzibie ONZ.

Były minister Byrnes postanowił się zrewanżować. Chciał zaaplikować nową polityczną bombę atomową w amerykańskiej przeróbce — sklecił marny, nieudolny niewypał — mówiąc szczerze...

AVIS

tak i nie
STRONA 4

ZBIGNIEW MITZNER

MOBILIZACJA NARODU

W swym przemówieniu wygłoszonym na ostatnim posiedzeniu Nacz. Rady Odbudowy Warszawy Prezydent Rzeczypospolitej przypomniał słowa dekretu z maja 1945 roku, powołującego do życia tę właśnie Radę. Pierwszym jej zadaniem, nałożonym przez dekret, jest „mobilizacja zasobów duchowych i materialnych narodu dla dzieła odbudowy Stolicy".

W tymże przemówieniu Prezydent Bierut stwierdził, że „sprawa odbudowy Warszawy — to nie jest tylko sprawa wybudowania tylu to, a tylu potrzebnych gmachów państwowych i społecznych, tylu to, a tylu domów mieszkalnych, sklepów, hal, czy teatrów — lecz, że to jest jedno z zadań historycznych narodu, jedno z zadań dzisiejszego pokolenia, według których oceniać go będą następne".

W tych słowach mieści się cały program demokracji polskiej nie tylko w zakresie odbudowy Warszawy, ale w zakresie o wiele szerszym, obejmującym całokształt odbudowy życia narodowego we wszystkich jego przejawach. W tym zakresie zmagają się dzisiaj w świecie dwie zasadnicze tendencje.

Jedną z nich reprezentuje kapitalizm, który uosabiają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Ludzie, tym krajem rządzący i ludzie z ukrycia kierujący jego polityką, zawierzają całkowicie i wyłącznie sile swego pieniądza i sile swych zasobów materialnych. Sądzą oni, że dzięki posiadanym bogactwom mogą na świecie wszystkiego dokonać i wszystko kupić. Błąd ich polega na tym, że jest wiele rzeczy na świecie, których ceny nie można wyznaczyć w dolarach, choćby liczby tych dolarów rosły w miliony, czy nawet w miliardy.

Z drugiej strony — koncepcji dolarowej przeciwstawia się skutecznie koncepcja inna. Ta właśnie, która obok własnych zasobów materialnych mobilizuje na podstawie ideowej zasoby moralne.

Ten, kto dzisiaj chodzi ulicami Warszawy i dobrze widzi, to co się wokół niego dzieje, stwierdzić musi, że tylko wielki zapał i tylko ta skutecznie przeprowadzana mobilizacja, mogły doprowadzić do tak wspaniałych rezultatów w podniesieniu z gruzów najbardziej zniszczonego miasta Europy, dokonywanego właśnie bez żadnej pomocy dolarowej i pomocy zewnętrznej. Dolar sam przez się nie stanowi żadnej siły, będąc, jak każdy pieniądz, tylko symbolem wartości. Rzucony w Grecji w ilości setek milionów, nie przynosi żadnych twórczych rezultatów, będąc tylko motorem wlokącej się nieskończenie wojny domowej. Tak użyty nie jest czynnikiem twórczym, ale elementem zniszczenia.

TEN potok dolarów omija świadomie Polskę. Kraj nasz, najbardziej dotknięty wojną i okupacją, kraj, którego wyniszczenie ludzkie i materialne osiągnęło punkt szczytowy, uzyskuje rezultaty w swojej odbudowie zupełnie niespodziewane. Jak ogłoszono ostatnio, w czerwcu roku bieżącego produkcja przemysłowa Polski przekroczyła normy przedwojenne.

Jeśli społeczeństwo nie odczuwa należycie tych osiągniętych rezultatów, to dlatego, że część tej produkcji, część pracy ludzkiej, surowców i towarów obrócona być musi na budowę dla przyszłości, na zaleczenie ran zadanych przez przeszłość. Naród polski nie stać na luksus wegetacji, na spożywanie i zużywanie wszystkiego tego, co produkuje, gdyż musi on część swych dóbr poświęcać na rzecz wielkich inwestycji, mających na celu podniesienie kraju ze zniszczeń wojennych.

JEST to droga ciężka i trudna. Kroczenie jednak po niej daje dobre rezultaty, mimo że wymaga wielkich poświęceń i wielkiego samozaparcia. Tylko całkowite zrozumienie historyczności stojącego przed narodem zadania, tylko zrozumienie konieczności takiego wysiłku pozwala osiągać wspaniałe rezultaty. Przeświadczenie, że budujemy sami, że nikt nie wykreśla nam planów naszych domów, ani nie wykreśla nam linii rozwojowej, ale że czynimy to sami, dawać nam musi pełnię zadowolenia, która zastępuje dobrobyt, będący często zjawiskiem przejściowym, wówczas gdy zależy od czynników zewnętrznych.

W ten oto sposób na arenie świata toczy się wielka walka, w której ścierają się dwa światopoglądy, dwie idee, z których musi zwyciężyć ta — reprezentująca narody, ponad tą, która reprezentuje pancerne kasy bankowe.



ROCZNICA ŚMIERCI NACZELNIKA

Polska obchodzi uroczyście 130-tą rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki, jako ojca nowoczesnej polskiej demokracji. Hasła rzucone przez Kościuszkę przed półtora wiekiem stały się programem i testamentem dla wielu pokoleń. Są one żywe i dziś i przyświecają nam nadal w naszej pracy w Polsce demokratycznej.

Na zdjęciu naszym reprodukujemy portret Kościuszki z ostatnich lat życia.

Koszty zbrojeń

TYGODNIK angielski „Statesman and Nation" wylicza dokładnie liczbę robotników zatrudnionych przy zaopatrzeniu armii i floty brytyjskiej. Na każdych czterech żołnierzy lub marynarzy wypada trzech robotników, i pracowników umysłowych cywilnych.

Urzędnicy cywilni sztabów	100.000
Cywilne siły robocze armii	175.000
Personel ministerialny i naukowy zajęty badaniami nad bronią itp.	75.000
Personel zespołów wojskowych utrzymywanych przez inne ministerstwa niż Ministerstwo Wojny i Admiralicje	60.000
Robotnicy budowlani zatrudnieni przy budowlach wojskowych	60.000
Personel kantyn i opieki wojskowej	40.000
Robotnicy przemysłowi pracujący dla potrzeb wojska, floty i lotnictwa	410.000
	920.000

Zaznaczyć trzeba, że liczby tu podane nie obejmują robotników zatrudnionych przy wyrobie takich artykułów jak buty ,mundury itp., chociaż przeznaczone są dla potrzeb wojska.

Liczba sił zbrojnych Anglii została zredukowana z dniem 1 października do 1.200.000 ludzi. (p),

Armia szwajcarska

W Bernie dyskutowano przed niedawnym czasem gorąco nad wysokością budżetu wojskowego. Sztab Generalny małej lecz dobrze uzbrojonej armii szwajcarskiej domagał się 400 milionów franków szwajcarskich, co odpowiada 100 milionom dolarów. Po długich debatach zredukowano budżet do 384 milionów franków. Są to wyłącznie wydatki na uzbrojenie. Poza tym Szwajcaria wyda 121 milionów na szkolenie swo ich 28.000 rekrutów i 170.000 rezerwistów, powoływanych corocznie na trzytygodniowe ćwiczenia.

Warto się zapytać, czyżby również Szwajcaria, czuła się zagrożona odrodzeniem niemieckiego przemysłu w Zagłębiu Ruhry? ,(p).

Jeszcze o pewnym wybuchu

NIEDAWNO świat został wstrząśnięty wiadomością o wielkim wybuchu w hiszpańskim porcie Kadyks. Władze frankistowskie zaprzeczyły wiadomościom wszystkich agencji, że prowadzono tam przy udziale Niemców badania i produkcję nowoczesnej broni. Jeden z robotników, któremu udało się niedawno przedostać do Francji przez zieloną granicę oświadczył:

„Robotnicy, którzy uprzątali gruzy arsenału w Kadyksie znaleźli m. in. marynarkę jednego z pracowników arsenału. W portfelu znaleziono szereg dokumentów, zredagowanych w językach hiszpańskim i niemieckim. Wśród nich była umowa pracy, ustalająca wysokość uposażenia na 2.500 pesetów miesięcznie (ok. 80.000 zł). Dokonano szeregu aresztowań wśród republikanów hiszpańskich, wskutek tego, że niektórzy z nich oświadczyli publicznie, że w arsenale prowadzono badania nad energią atomową, przy udziale techników niemieckich. Wszystkie prace przy odgruzowaniu były prowadzone pod silną strażą tzw. Gwardii Cywilnej, która natychmiast po wypadku otoczyła cały teren zwar tym kordonem".

Wiadomość ta przekreśla wszelkie wątpliwości co od charakteru prac, jakie Hiszpanie prowadzili w Kadyksie. (p)

Dwóch Hindenburgów

AMERYKAŃSKIE władze wojskowe w Niemczech wydały ostatnio orzeczenie niezmiernie charakterystyczne dla mentalności zarówno Niemców jak i niektórych administratorów wojskowych.

W pewnym miasteczku amerykańskiej strefy okupacyjnej rada miejska zastanawiała się nad problemem, czy należy utrzymać ulicę im. Hindenburga czy też lepiej będzie ją przemianować. Ponieważ rajcowie nie mogli dojść do porozumienia, zdecydowali zasięgnąć zdania Amerykanów, ci orzekli, że jeżeli ulica została nazwana imieniem Hindenburga jako feldmarszałka, to należy nazwę zmienić. Jeżeli jednak zamierzano uczcić Hindenburga, jedynie jako prezydenta Rzeszy, to wszystko jest w najlepszym porządku.

(p)

Tak i nie

Postęp w Afryce Południowej

AFRYKA Południowa jest jednym z najbardziej zacofanych społecznie krajów, rządzonych i zamieszkałych przez białego człowieka. Nigdzie poza Afryką Południową nie ma tak brutalnej dyskryminacji rasowej.

Ten stan rzeczy spowodował dla tego bogatego dominium angielskiego szereg trudności na gruncie międzynarodowym. Celem odzyskania pewnej popularności Afryka Południowa rozpoczęła obecnie wielką kampanię propagandową. Rząd generała Smutsa rozdał ostatnio wśród delegatów do ONZ broszurę o sytuacji tubylców, w której przy pomocy fotografii udowadnia, że poczyniono znaczne postępy w równouprawnieniu czarnej i białej ludności w Afryce Południowej:

MURZYNOM WOLNO CHODZIĆ TYM SAMYM CHODNIKIEM CO BIAŁYM.

DZIEŃ W ZWIĄZKU RADZIECKIM

WYNIKI PRACY W PRZEMYŚLE ZSRR

Państwowa Komisja Planowania Związku Radzieckiego opublikowała niezwykle ważne i interesujące dane, dotyczące wyników realizacji planu odbudowy i rozwoju gospodarki narodowej.

Cały przemysł Związku Radzieckiego wykonał w trzecim kwartale rb. tzn. w miesiącach lipcu, sierpniu i wrześniu przewidziany na ten okres plan w 104%. 9-miesięczny plan wykonany został przez przemysł w 103%. Cyfry te świadczą dobitnie o postępach w realizacji pięcioletniego planu.

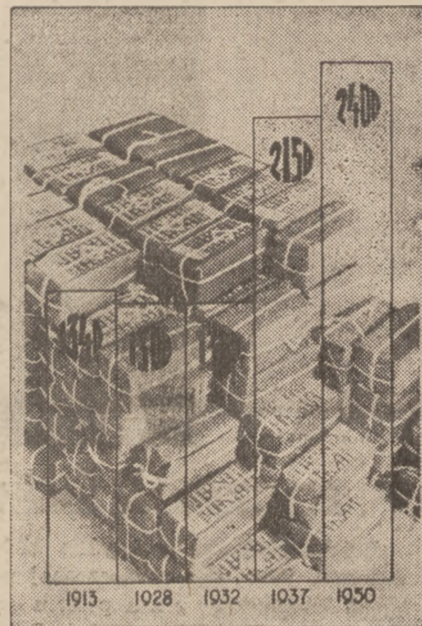
Godne uwagi są przy tym dwa fakty: przede wszystkim to, że najwydatniej pracowały w tym okresie ministerstwa, obejmujące przodujące gałęzie przemysłu: hutnictwo, metalurgię, przemysł naftowy wschodnich okręgów ,ciężki przemysł maszynowy, produkcję sprzętu budowlanego i drogowego. Plan produkcji w tych działach przekroczony jest o 4 do 15%. Ma to olbrzymie znaczenie, ponieważ od rozwoju tych najważniejszych gałęzi przemysłu zależny jest rozwój innych dziedzin gospodarki.

Drugi objaw znamienny — to doskonałe wyniki w tych dziedzinach produkcji, które zaspakajają bezpośrednio najpilniejsze potrzeby życiowe ludności. Do ich rzędu zalicza się przemysł włókienniczy, przetwórstwo mięsne i inne rodzaje przetwórstwa spożywczego.

Rozwój tego przemysłu zapewniony jest dzięki znacznemu rozszerzeniu bazy surowcowej. Zwiększenie produkcji dla celów konsumcyjnych jest wyraźnym dowodem stałego podnoszenia się stopy życiowej ludności Związku Radzieckiego. Nieustanny wysiłek rządu w tym kierunku, jak również bohaterska praca robotników i inżynierów pozwoliły osiągnąć nadwyżkę we wszystkich działach produkcji w ilości 25% w porównaniu z odpowiednim okresem ubiegłego roku.

Radzieckie zakłady przemysłowe dostarczyły w tym roku znacznie więcej stali, żelaza, szyn, zwiększyło się wydobycie węgla i nafty, wyprodukowano więcej parowozów i samochodów, wyrobów metalowych, traktorów, zbudowano szereg nowych warsztatów i kombajnów, wzrosła produkcja tkanin wełnianych, obuwia, mięsa, masła itp.

Komunikat Komisji Planowania wskazuje wyraźnie na poważny rozwój rolnictwa. Dzięki sprzyjającym warunkom atmosferycznym i ulepszonej pracy na roli, ogólny urodzaj w roku bieżącym zwiększył się w porównaniu z rokiem ubiegłym o 58%. Praca na roli jest w tym roku znacz-



Wykres produkcji cukru w tysiącach ton

nie wydajniejsza. Jako przykład posłużyć może fakt, że do 5 października uprzątnięto o 7 milionów hektarów powierzchni pól więcej, niż w roku 1946.

W dalszym ciągu komunikatu dowiadujemy się o wzroście inwestycji, o postępach w dziedzinie transportu kolejowego, obrotu towarowego, o powiększeniu liczby zatrudnionych we wszystkich działach gospodarki narodowej.

Warto zwrócić szczególną uwagę na postępy w odbudowie tych części kraju, które znajdowały się w czasie wojny pod niemiecką okupacją. Na odbudowę tych okręgów wydatkowano w trzecim kwartale br. 5 milionów rubli, nie wliczając w tę sumę tzw. wkładów niescentralizowanych. O tempie odbudowy tych terenów świadczy jeszcze jeden charakterystyczny fakt. Ogólna ich produkcja w trzecim kwartale br. w porównaniu z trzecim kwartałem 1946 roku wzrosła o 29%. Odbudowane i odbudowujące się przedsiębiorstwa na tych zniszczonych przez wroga terenach z dnia na dzień podnoszą swoją wytwórczość we wszystkich dziedzinach.

Troskę rządu o zaspokojenie potrzeb ludności zamieszkałej na tym terytorium charakteryzuje fakt, iż w ciągu 9 miesięcy 1947 r. w miastach wybudowano i odbudowano ponad 1,5 miliona metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Na wsi powstało 153 tys. nowych domów mieszkalnych.

Oszczędzajcie chleba! Jedzcie więcej ciastek!

DO tych dwóch sloganów można sprowadzić dwie kampanie propagandowe prowadzone obecnie równolegle w Stanach Zjednoczonych. Z jednej strony na skutek wezwania prezydenta Trumana prasa wzywa do ograniczenia konsumcji chleba, z drugiej związek młynarzy i związek piekarzy wyasygnowały łącznie sumę 4 milionów dolarów na akcję reklamową, która doprowadzi do zwiększenia konsumcji pieczywa, a zwłaszcza ciastek w Ameryce.

Przypomina się powiedzonko królowej Marii Antoniny: „Ludzie nie mają chleba? Dlaczego nie jedzą ciastek?

(p)

Jak się robi interes w USA

JEDNO towarzystwo lotnicze sprzedało drugiemu towarzystwu koncesje na utrzymywanie komunikacji między Denver a Los Angeles. Wartość koncesji udzielonej przez Rząd Stanów Zjednoczonych bez żadnych opłat ustalono na 1.500.000 dolarów.

Na tym jednak nie koniec. Podatnik amerykański straci jeszcze więcej, gdyż obecnie skarb amerykański będzie płacił premie za utrzymywanie komunikacji lotniczej również od tej sumy. Premie bowiem dla towarzystw lotniczych są obliczane w stosunku do kapitału danego towarzystwa. (p).

40 papierosów za spuściznę Beethovena

W Niemczech podobno można obecnie kupić wszystko za papierosy. Nie jest to jednak objaw demoralizacji powojennej. Jeszcze w czasie wojny dwie paczki papierosów wręczone dowódcy niemieckiego oddziału saperów w Bonn zapobiegły wysadzeniu w powietrze domku Beethovena, cennej spuścizny wielkiego muzyka. W dniu 9 marca 1945 r. oficer Wehrmachtu za cenę dwóch paczek papierosów otrzymanych od dozorcy domku nie wykonał rozkazu swoich zwierzchników. Gdyby chodziło o rozstrzelanie kogokolwiek papierosy prawdopodobnie nie by nie pomogły.

(p)

Za kulisami demontażu

PRZY ustalaniu listy fabryk niemieckich, które zostaną przeznaczone na pokrycie drobnej cząsteczki odszkodowań, wysłuchiwano opinii najrozmaitszych grup zainteresowanych w tej sprawie. Nie pytano natomiast o zdanie przedstawicieli krajów, których pozbawiono należnych im reparacji.

Wielką rolę odgrywały względy konkurencyjne. Jak podaje tygodnik amerykański „Newsweek", np. amerykańskie fabryki narzędzi chirurgicznych są poważnie zaniepokojone, że Niemcy będą mogły zalać rynek Stanów Zjednoczonych swoimi wyrobami, które kalkulują się o 50 proc. taniej, mimo, że przywóz jest obłożony prohibicyjnym cłem w wysokości 55 proc.

Jeżeli fabryki wyspecjalizowane w tej dziedzinie nie znalazły się na liście demontażowej, to na pewno nastąpi podwyżka ceł protekcyjnych. (p)

Złote kłopoty Szwajcarii

SZWAJCARIA była jedynym państwem na świecie, które po drugiej wojnie światowej zdecydowało się na nieograniczoną wymianę swoich banknotów na złoto. Ponieważ banki szwajcarskie kupowały również inne waluty np. franki belgijskie czy korony szwedzkie bez ograniczeń, od pływ złota ze skarbca banku narodowego osiągnął fantastyczną wysokość 5 milionów franków szwajcarskich dziennie. Wynosi to przeszło milion dolarów. Po trzech miesiącach Szwajcaria, ku wielkiemu utrapieniu międzynarodowych spekulantów i waluciarzy zawiesiła wymianę banknotów na złote monety. Złote franki zwane przez handlarzy „krzyżykami", powędrowały do pończoch i kas pancernych całej zachodniej Europy.

(p)

JAN WIKTOR

NA GROBIE OJCA NARODU

Z CYKLU: W CIENIU SW. WACŁAWA I HUSA

MIOTAJĄ się barwy w oczach. Zrywają się coraz to inne melodie. Wirują ściany kwitnące barwistym korowodem strojów i postaci. Słychać klaskanie dłoni, spełniających ważne zadanie w tańcu, tupot butów roztrzaskujących z uciechy podłogę. Kłębi się wicher kolorów i głosów jednako rozbawionych. Powtarzamy urywki pieśni słyszanych w czasie zabawy ludowej we wsi Strażnica, urządzonej w magnackim pałacu, zmienionym obecnie na dom kultury i muzeum.

Wracamy późnym wieczorem, przynaglani pośpiechem, aby zdążyć na oznaczoną godzinę. Jednakże w tej miejscowości musimy się zatrzymać choćby na chwilę. Trudno. Stop. Wypadamy ze śmiechem z auta.

— Cóż ważnego?

— Cejć (Ciejć) — święte miejsce.

— Ileż takich miejsc macie?

SKĄPE światło elektrycznej latarenki rozgrzebuje ciemności. Wieniec owinięty narodowymi barwami zasłania tabliczkę wmurowaną w ścianę niskiego domu. Ktoś odwija zieleń i wstęgę zawieszoną ku uczczeniu czyichś zasług.

— Czytaj, a żwawo. Czasu nie ma. — Ktoś upomina głośno.

W tym domu mieszkał w roku
1865—66 pierwszy Prezydent
Republiki
T. G. Masaryk
kiedy uczył się na folwarku
kowalstwa

Zdejmujemy czapki. Prężymy się na baczność, oddając w milczeniu hołd pamięci.

Nazajutrz w sali sejmowej zobaczyłem marmurową tablicę pod sztandarem państwowym, umieszczoną tutaj z woli ludu dla uczczenia zasług największego męża w narodzie.

T. G. Masaryk
zasłużył się dla Państwa
(ustawa z dnia. 26.II.1930 roku)

— Mogą się zmienić rządy, partie, ale tej tablicy nikt nie ośmieli się usunąć, bo to ustawa, ustawa to święte nienaruszone prawo, uchwalone przez sejm w imieniu całego społeczeństwa i szanowane przez wszystkich. Ustawa — mój towarzysz wymówił ten wyraz, jakby okazał bryłę granitową wykutą wysiłkiem całego narodu, na której wznosi się praworządne życie. A zresztą choćby ktoś ośmielił się zmienić ustawę to jednak nie wyrwie z pamięci jego zasług. Pozostanie na zawsze „Oswobodziciel" i „Budowniczy Republiki".

DALEKĄ, jakże daleką i uciążliwą drogę, w trudzie, w walce z przeciwnościami, przebył uczeń kowalski, syn folwarcznego furmana, nędzarza dworskiego, aby zdobyć katedrę uniwersytecką, a później najszczytniejsze stanowisko: Hradczany, siedzibę królów. Dla potomka Husa przykładem musieli być bracia czescy, niezłomni w postępowaniu, żarliwi w walce o wolność, którzy nakazywali, że najskuteczniej można wywalczyć przewodnictwo postawą moralną, szlachetnością czynów, że największym skarbem jest miłość człowieka, praca dla niego i służenie mu prawdą, sprawiedliwością i dobrem.

Wyrobnik wiejski w spalonych dłoniach wyniósł wyrwany z ogniska kowalskiego żarzący się węgiel, by nim podpalać serca.

Nie ma chyba ani jednej miejscowości na obszarach Czech, która by go nie uczciła pomnikiem, nazwą ulicy, fundacji, biblioteki, zakładów kulturalnych, czy humanitarnych.

— Ojciec narodu. Pierwszy Prezydent wyzwolonych Czech po latach niewoli.

Te pomniki są wyrazem żywiołowej a trwałej czci, miłości, wdzięczności całego narodu, dlatego też w dniu 28 października, w święto ustanowione po uzyskaniu wolności w 1919, wszędzie dzisiaj widać wizerunki „tatinki" w oknach, wśród barw i znaków państwowych, dlatego też w urzędach stowarzyszeniach widzimy na naczelnych miejscach portrety, rzeźby — bo ten wielki prezydent patronuje wszystkim sprawom, dalej panuje, umysłami włada, słucha, przyświadcza, wiec jego nie wolno zdradzić, oszukać, okłamać, wobec niego wszyscy muszą wypełniać obowiązek jakim jest praca dla Ojczyzny. On jest wzorem i przykładem niezmordowanej służby, walki o przebudowanie, o odrodzenie duszy w miłości, mądrości i sprawiedliwości. Naczelną zasadą Masaryka był nakaz: „Jezus, nie Cezar, oto sens naszych dziejów". — A więc symbol miłości, prawdy i człowieczeństwa, a nie władza oparta na przemocy, krzywdzie, ucisku. Prawda i prawo są podwalinami życia, a piękno jest ozdobą. — Tych nakazów nigdy nie zdradził, nigdy się ich nie zaparł, zawsze nieustraszony, zawsze nieugięty, zawsze używający w boju oręża jakim jest szlachetność umysłu i mądrość. To apostoł odrodzenia, humanista, budziciel, „myśliciel wszechludzki". Wziął w serce swoje dziedzictwo przodków, rozpłomienił nim swoje życie, swoje dzieła, aby je oddać potomnym, toteż nadal jest zaliczany do najświetniejszych osobistości w historii, do czołowych wychowawców, nauczycieli i wodzów narodu czeskiego i chlubą Słowiańszczyzny.

GDZIEINDZIEJ wydzierają sobie ster rządów, często w walce. Gdzieindziej gwałt wyrywa ster, z zaciśniętej garści, broniącej się rozpaczliwie i wołającej — nie puszczę, bom najgodniejszy. Tutaj zgoła inaczej. T. G. Masaryk po długoletnim władaniu otoczony czcią wszystkich w kraju i w świecie, w pełni władz umysłowych, dobrowolnie, oddał władzę młodszemu, którego uważał za najgodniejszego, najmądrzejszego następcę, aby kierował państwem w czasach bardzo burzliwych, jakie nadchodziły. Osiadł w zaciszu wiejskim w Łanach. Jednakże nadal pozostał tym, czym latarnia morska na skalistym brzegu wśród mroków i burz. Światło jego nakazów padało daleko i wskazywało drogę zdążającym do wolnej Ojczyzny, oddającym jej siły ciała i duszy. Wszyscy słyszeli głos myśliciela, który w pracy swej nad odrodzeniem człowieka, nad dążeniem do poznania prawdy był na usługach wieczności.

T. G. Masaryk

Pamiętam fotografię przedstawiającą chwilę zrzeczenia się prezydentury. Wtedy, tak to dawno było, tyle lat minęło, pisałem pod pierwszym wrażeniem:

„W ostatnich dniach we wszystkich dziennikach, wśród codziennych sensacji widzieliśmy fotografię. W środku pokoju na stoliku kiść kwiatów. Jako tło książki, setki tomów. Właściwie ścianami była biblioteka. Poza tym nic. Żadnych ozdób. Zaciszna pracownia uczonego. Na tle tych książek stoi pięciu starszych panów, zajmujących naczelne stanowiska w państwie. W klapach ubrań nie widać odznak, wstążeczek, blaszek. Tam obowiązuje nakaz, że każdy obywatel ma wypełnić obowiązek wobec Ojczyzny według swoich zdolności, wedle swoich sił i nakazów narodowego i ludzkiego sumienia. A więc szewc na swoim stołku, stolarz przy swoim warsztacie, kowal przy swoim kowadle, artysta przy swoim dziele, pisarz przy swoim biurku, każdy musi pracować na chwałę swego narodu".

„Wśród owych panów, z ręką na temblaku stoi ten, który wywalczył to państwo, stworzył je, który wydarł kawał ziemi pod pracę dla pokoleń. Znakomity uczony, filozof, humanista, wielki umysł. — To akt zrzeczenia się prezydentury, którą dzierżył nieprzerwanie przez 17 lat. Nie widać przepychu, żadnej wystawności, ceremoniału. Nikt nie podaje złotego pióra, nikt nie śledzi, nie notuje każdego szczegółu, aby w zapłaconych blaszkami i dostojeństwami panegirykach, w pustych i głośnych fanfarach, roztrąbić po świecie ważność tej chwili. A chwila ważna. Coś się dokonuje. Jakiś przełom. Zaczyna się nowy okres dziejów tego kraju. Jesteśmy wzruszeni prostotą, skromnością. I wielkie wypadki mogą też wzruszać i wstrząsać tą prostotą, bo one mają własną wymowę, jakże inną niż zewnętrzny przepych, niż gronostaje królewskie, niż szaty z aksamitów, pasów słuckich, przykrywających nagie ciało nędzarza, smagane aby krzyczał chwałę"...

Piękny pałac w parku, ofiarowany przez naród graniczy z zagonami chłopskimi. Taticzek, odbywając samotne przechadzki, tak często spotykał sąsiadów, gospodarzy, najemników, wyrobników, witał uściskiem dłoni jak równy równego, uznojony w służbie wspólnej. Boć przecież wszyscy jednako pracują, jeden na zagonie, a drugi na łanie ojczystym, jeden obdarza chlebem, a drugi mądrością, owocem prawdy, wolności, który się rodzi z poszanowania prawa, sprawiedliwości i zgody.

Siadli na skraju lasu, na miedzy, w cieniu stert zboża i gwarzyli — dobry sąsiad z sąsiadem, brat z bratem. A tyle było tematów wspólnych, dręczących tak chłopa jak prezydenta, radujących tych na nizinach, jak i na szczytach.

— Nasz stary, dobry taticzek — mówili uszczęśliwieni.

Spotykał też komornicę zbierającą suche gałęzie na podpałkę. Pragnął jej ulżyć w niedoli, pomóc. Smutny wracał do swego zacisza.

— Źle w państwie jeżeli jeden obywatel krzywdę czuje, jeżeli jeden obywatel mozoli się na starość, aby ugotować strawę w zimnej izbie. Nie powinien płakać, ani przeklinać. Osuszyć łzy w oczach, usta obdarzyć uśmiechem, a utrudzone ręce obdarzyć chlebem. Łatwiej na tej ziemi o różaniec i kamień, niż o chleb dla głodnego, wołającego sprawiedliwości i dobra.

MASARYK spoczął na zacisznym wiejskim cmentarzu, który tak bardzo umiłował. Nie pozwalał budować na grobie żadnych sarkofagów, kaplic, uwieczniać swego nazwiska w spiżu.

Zwyczajny cmentarz. Anioły płaczące i skazane na wieczystą boleść w kamieniu. Nagrobki marmurowe złotymi napisami świadczące, kto leży, kiedy się urodził i jakimi zaletami się odznaczał za życia. Wszędzie widać gołębie, wyobrażające lot, niebiosa, tkwiące bez ruchu, przytulone do krzyża. Ponad zbiorowiskami pomników, nieraz wystawnych, pysznych, przechwalających się bogactwem, ponad ciszą śmierci wystrzelają drzewa po to, aby na wiosnę dzwoniły ptakami uwielbiającymi życie i miłość, ścielącymi gniazda, aby w dnie skwarne osłaniały cieniami, aby liśćmi szeptały modlitwy, gdy żyjące usta zamilkną, gdy ludzkiej pamięci zabraknie głosu.

ŚCIEŻKA prowadzi w głąb cmentarza aż na sam kraniec. W kącie pod murem kawał ziemi ogrodzony prostym płotem z drewnianych kołków — jakby zagroda chłopska. Żadnego nie ma krzyża, pomnika, znaku. Bezimienny wzgórek zasłany dywanem, którym jest murawa. Dwie gliniane doniczki, z kaktusami. Na granitowym słupku lampka w kształcie serca, gorzeje płomykiem, jakby kaganek przed wielu laty wyniesiony spracowanymi rękami matki, z wyrobniczej izby nędzarza, aby utrudzonemu a tak samotnemu synowi oświetlał drogę wiodącą w wieczność... Prostota, skromność i surowość wzrusza i zmusza do wypowiedzenia modlitwy dobytej z dna duszy, bez słów, tylko wewnętrznym sięgającym osierdzia wstrząsem. Wieńce z szarfami, tworzą sztandar uszyty z barw wszystkich narodów składających je w hołdzie, dla zasług, dla uczczenia pamięci. To miejsce nie potrzebuje nazwy, bo tu w tym zakątku, każda gruda żyje milionami serc ludu czeskiego.

— Spoczywa Ojciec Republiki.

Corocznie tedy przychodzą pielgrzymki jako do miejsca świętego. Tak często słychać wyznania w mieście, czy na wsi: „Chyba nie ma jednego Czecha, który by nie oddał czci na tym grobie, a są tacy, którzy po kilka razy przybywają".

„Zamiast nagrobka żyją wśród nas jego nakazy wciąż rozbrzmiewające — wiara w człowieka, wiara w zwycięstwo sprawiedliwości, dobra i postępu... Kochaj prawdę, walcz o prawdę, — bo ona jest bramą zdobywającą odrodzenie ludzkości".

Był najwspanialszym wyrazicielem duszy słowiańskiej, wychowany w czeskiej szkole, a może ogólno ludzkiej. Płomień entuzjazmu umiał zakuwać w stal woli i czynu.

— Trzeba, aby sprawa czeska stała się zagadnieniem świata, aby jej krzywda była krzywdą świata, która budzi nie tylko współczucie, ale domaga się naprawienia — ktoś mówi.

— Trzeba, aby sprawa słowiańska... nie... aby sprawa skrzywdzonego człowieka stała się zagadnieniem ludzkości... — dopowiadam.

ZADUMĘ przerwał mi człowiek, który wyłonił się z pomiędzy nagrobków, zaczłapał chodakami, zadźwięczał łopatą i kilofem. Niósł w fałdach roboczego ubrania grudy gliny, jakby z niej był ulepiony. Grabarz wracający od kopania grobu, strażnik cmentarza. Stanął obok.

— Taticzek nieraz mówił do mnie: nie smuć się, a wesel, pamiętaj zawsze o tym: więcej bożego miłosierdzia i miłości niż złości ludzkiej...

— Żadnego nagrobka nie ma za to?

— Stało się to na wyraźne życzenie Prezydenta. Poco ma dźwigać kamienie po śmierci, dość nadźwigał się ich za życia!

Wyszedł z ziemi, spoczął w ziemi, wyrobnik boży. Kiedy spuszczano prostą trumnę do grobu — rozległa się ludowa melodia, którą szczególniej miłował, która mu zawsze towarzyszyła. — Ach synku, synku. Niech mi dzieciństwo przypomina. — Jak dawniej tak i teraz, ta chłopska piosenka wlewała się rzewnością do serca i wypływała łzami.

— Codziennie przychodził Pan Prezydent na grób Maminki — o tam — grabarz wskazał miejsce wiecznego spoczynku małżonki. — Położycie mnie tutaj, obok. Towarzyszką wierną, przyjacielem dozgonnym mi była...

Ciąg dalszy na str. 6-tej

NA GROBIE OJCA NARODU

Dokończenie ze str. 5-tej

— Żyjcie panie Prezydencie jak najdłużej i radujcie wszystkich. boście nasz dobry ojciec — mówiłem, a on uśmiechał się i powiedział. — Trzeba odpocząć, już czas. — Zawsze był dla mnie życzliwy, zawsze o zdrowie zapytał, o rodzinę, a na powitanie o, tak, mocno ściskał tę rękę, moją wyrobniczą. — Dość się one upracują. Do nich każdy przyjdzie. Każdemu usłużą. Ostatnie. Wierne — Grabarskie — odpowiedziałem mu.— Dla króla i biedaczyny jednakie, dla pychy i skromności. — Tak, tak — pokiwał głową. —

Umarły przywilejów nie zna, do śmiertelnej koszuli nie przyszyje kieszeni. Zostaje ci tylko to, coś uczynił — światłość dobra. — Idziemy z nim w mroki. — A później do mnie się zwrócił. — Tyś jest jedynym i ostatnim. Nikt na Ciebie nie zapłacze, nikomu krzywdy nie uczynisz. — Nieraz ugwarzyliśmy serdecznie. Rozumiał pracującego człowieka, bo on sam dość utrudził się w życiu.—Potem stawał nad grobem. Rozmawiał z Bogiem i z nieboszczką... Któż śmiał przerwać taką modlitwę.

— Czy leżą razem z małżonką? — pytam.

— Nie stało się zadość życzeniu Prezydenta. Nie spoczął tam z braku miejsca. Usuwać innych? Nie wolno. Prawo — zakazuje — prawo — powtórzył grabarz.—Zresztą tutaj wszyscy są równi. Na życzenie i za zezwoleniem rodziny została Maminka przeniesiona do nowego grobu na dzień przed pogrzebem Prezydenta i leży po prawej ręce Tatinka — bo tak chciał — grabarz uniósł palec i wymówił z namaszczeniem. — Nie wolno zmieniać ostatniej woli. Teraz opiekuje się jednako. Święte, święte miejsce.

— Serce Ojczyzny, wciąż żywe i gorejące — dodał po czesku mój towarzysz.

KIEDY nikczemne ręce Europy, dla swego haniebnego spokoju, rzuciły opuszczone Czechy, pod niemiecki czołg, niosący śmierć ludzkości, Benesz musiał opuścić kraj. I wtedy w ostatniej, tak groźnej chwili z małżonką przybył tutaj, aby pożegnać grób swego nauczyciela, wodza, a razem z nim nieszczęśliwą Ojczyznę. Stąd poszedł na wygnanie, na nową walkę o wolność ujarzmionego swego narodu. Zdajemy sobie sprawę, co wtedy przeżywał. Może prosił o namaszczenie na drogę pełną trudów, może o pomnożenie sił na tułaczce, o niezłomność i nieustępliwość, może o rozpalenie nadziei w duszy upadającej pod ciężarem nieszczęścia, może o wiarę w zwycięstwo w chwilach tak mrocznych i pełnych rozpaczy? A wtedy otaczała czeski naród ciemność, nie rozświetlona jednym promieniem. A może, jak przed spowiednikiem znającym najtajniejsze myśli i uczucia, wyznawał rozpacz zwątpienia, boleść i cierpienie syna wypędzonego z ojczystego domu?

Już raz przed laty, odbywał tę samą drogę w bojowaniu o wielkość Ojczyzny— on syn nędzarza wyzyskiwanego w ciągu wieków — a teraz mającego podnosić z upadku los wieków. Wtedy między 1914 a 1918 razem z Masarykiem i Sztefanikiem pospołu dźwigali sprawę czeską i słowacką umęczonymi ramionami, aby ją świat zobaczył, razem wołali do ludów i przypominali krzywdę. Wrócili w chwale zwycięzców. Teraz po raz drugi. Już samotny. Nie będzie wielkiego serca i umysłu torującego drogę, nie będzie potężnego ramienia, wspierającego go w tak żmudnej pracy, w tak trudnym bojowaniu. Zadaniem wygnańca będzie wydarcie Ojczyzny spod kół toczącego się niemieckiego czołgu, niosącego zagładę...

Kto wykradnie tajemnicę tej pamiętnej rozmowy dwóch pracowników, najserdeczniejszych druhów związanych miłością i służbą do ostatniego tchnienia wspólnej sprawy? Kto usłyszy głos dobywający się z żyjącego grobu, zaklinający — idź i czyń — prawda musi zwyciężyć. — Kto wyjawi prawdę syna działającego — Ojcze wierzę w zwycięstwo. —

Wtedy gwałtowny szloch wstrząsnął ciszą. Prezydent bez słowa objął ramieniem łkającą małżonkę. Nie pocieszał, ale trwał w milczeniu. I jakby głos z nieszczęśliwej ziemi się dobywał — nie wolno płakać. Trzeba wierzyć w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości, bo one są ostatecznym celem ludzkości.

Jeno grabarz patrzył na dwoje ludzi teraz bezdomnych, mających opuścić kraj kto wie na jak długo. Tylko grabarz słuchał tej rozmowy kiedy milczenie nabierało mocy tragicznego przeżycia o napięciu historycznym. I ten jedyny świadek tamtych chwil, strażnik cmentarza opowiada prosto, po swojemu.

— P. Beneszowa płakała tak, że ludzie w całej wsi słyszeli, a może w całym świecie, gdzie tylko jaki Czech mieszka i cierpiał wtedy z całym narodem. Płakaliśmy jak opuszczone dzieci. Kiedy P. Prezydent podawał mi rękę na pożegnanie, to widziałem łzy w jego oczach. Dobrze się hamował, żeby też nie zapłakać.—Ufajcie, bo się wszystko szczęśliwie skończy. Zwyciężymy. — Później trzykrotnie powtórzył. — Opiekujcie się grobem, bo to największa świętość nasza. — P. Prezydencie — powiedziałem — znacie mnie od dawna i wiecie, żem człowiek rzetelny. Lata utrzymywałem grób Maminki w należytym porządku i p. Prezydent Masaryk nieraz chwalił mnie, o tak, klepał mnie po ramieniu i dziękował — przyjacielu — przyjacielu będziesz się opiekował i moim. — Wypełniłem posłusznie wolę jego. — Opiekuję się.— Teraz tak samo. Dopóki mi sił starczy. Chociażby z pościeli śmiertelnej to zwlokę się, żeby uporządkować, oliwy dolać do lampki. To światełko wszyscy Czesi wszędzie muszą widzieć. Póki ono będzie trwało, póty wiara w nas będzie się palić. Dożyjemy radości i wtedy będzie wielkie święto, dzień wesela. — Jesteś dobrym synem Ojczyzny.

— A czy Hacha odwiedził grób? — przerwałem opowiadanie grabarza.

— Tak. Do 1941 zawsze składał wieniec dwa razy do roku na urodziny i Zaduszki, póki mógł chodzić. Czynił to pięć razy. W Zaduszki — to jakby dla uczczenia święta narodowego, wyzwolenia. — Coś mówił, alem nie chciał słuchać i zapamiętać. — Chociaż, prawdę rzekłszy, zostało mi coś niecoś w uszach — ja też służę wiernie, odpieram ciosy, shańbiony i wzgardzony spełniam ciężki obowiązek, wobec narodu. — Musiał ktoś wziąć na siebie hańbę, aby naród zasłonić, Ojczyznę bronić. Spełniam tę rolę dla twego dobra... Ech lepiej nie powtarzać. Poco?

— Istotnie. Poco? Niech w hańbie i wzgardzie wszystkich uratowanych spoczywa jako zdrajca. A może na jego grobie, na grobie bezimiennego nikczemnika, należałoby wyryć słowa: Przeklnij pamięć moją, bylebyś ty narodzie żył w szczęściu...

— Hacha uratował w pałacu wszystkie pamiątki po Masaryku, a nawet z mieszkania Benesza niczego nie pozwolił ruszyć. Jednakże wolności naszej nie uratował. Niemiec zawsze zostanie takim samym nieprzejednanym wrogiem naszym.

— Przez ostatnie lata pusto być tutaj musiało.

— Nic podobnego. Ludzie przychodzili gromadnie, aby cześć oddać, pomodlić się. Wielu płakało. Każda grudka tej ziemi jest poświęcona łzami. Z wszystkich stron biegły myśli do tego grobu — aby znaleźć spokój, pokrzepienie, wiarę i moc. To Prezydent Masaryk wołała do nas — wytrwajcie. Zwycięstwo sprawiedliwości bliskie. — Dość przeżyłem przez te długie lata. Dużo widziałem... Wrócił do kraju p. Prezydent. Zaraz w pierwszych dniach odwiedził nas. Nie mogło być inaczej. Ogromna chmara ludzi czekała na przyjazd. Nie można się było przecisnąć przez ciżbę. Musiał opuścić samochód i szedł pieszo tą, a tyle było krzyków, aż jasno się stało od radości. Stanął o tu jak wtedy. Małżonka o tu. A ja tam, o tak, z czapką w ręce. Patrzę. Czekam. A w piersiach i na duszy to jakbym miał słonko zdjęte z nieba. Jak to powiedzieć — ej Panie Prezydencie jesteśmy już szczęśliwi, żeś jest z nami. — Oczu z niego nie spuszczałem. Słonko swoje dałbym mu. Niechże mu świeci. — Pewnie pierwszemu prezydentowi składał sprawozdanie. Długie było. Bo przecież dość się napracował dla wyzwolenia Ojczyzny. Niechże ci Bóg błogosławi i siły twoje pomnaża, żebyś wszystkiemu sprostał, żebyś w szczęściu żył i nigdy żadna boleść nie zaćmiła jednej godziny. — Później na mnie popatrzał. A ja wtedy do niego o tak, stanąłem jak żołnierz przed najwyższą szarżą, przed feldweblem, albo generałem— chłop wyprężył się, trzasnął obcasami pewnie wedle habachtów austriackich. — Raportuję: Ślub, który złożyłem wypełniłem co do joty. Com gorzkich chwil przeżył, com przykrości doznał od Gestapo, tego nie można wypowiedzieć. Zresztą poco? Każdy wedle swojej miary pracował. Czekałem na Was, Panie Prezydencie i już myślałem, że nie doczekam się i że śmierć mnie wcześniej stąd zabierze, a chciałem zdać raport o wszystkim. Szczęśliwy jestem. Słonko bym wam dał. Ile razy było mi ciężko tom tutaj przychodził i zawsze to samo słyszałem — nie martw się, złe musi zginąć, prawda musi zwyciężyć, lew czeski jest nieśmiertelny. — Kiedym to rzekł, to P. Prezydent Benesz mocno mi uścisnął rękę i powiedział. — Tak powinien był wierzyć każdy Czech. — Ino to moc za długo trwało. — Tatinku miły nigdyśmy nie przypuszczali, że to nieszczęście tak długo będzie. Sądziliśmy, że tylko cztery lata. — Nic płakaliśmy, ale wszyscy śmieliśmy się. To było wielkie wesele. — Strażnik grobów wyprostował się teraz przed lampką wieczystą, stanął mocno, dumnie, i w dzień smutny i zimny uśmiechnął się radością wszystkich wyzwolonych Czechów. Już byliśmy wolni. Ten samotny grób w kącie wiejskiego cmentarza żyje i przemawia nakazami dzieł, obowiązujących każdego syna.

— Myśli wielkich duchów trzeba wcielać w życie, aby stały się życiem i szczęściem ogółu.

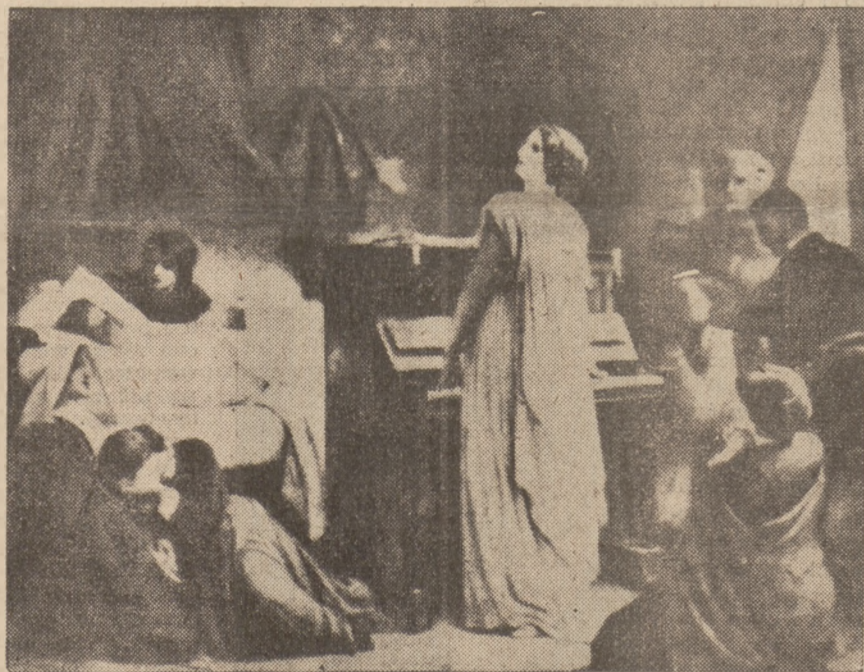
W sąsiedztwie marmurowych, wspaniałych pomników płonie wieczyście, w dzień i w noc samotne, ubogie światełko, a tak jasne, tak widziane wszędzie jakby czerpało paliwo z niespożytego serca Ojczyzny, aby podpalać wszystkich nigdy nieugaszonym płomieniem, a to miłością człowieka.

Jan Wiktor

KONCERT SZOPENOWSKI
W FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

W dziewięćdziesiątą ósmą rocznicę śmierci Fryderyka Szopena, jednego z największych muzycznych talentów świata, wykonano w Filharmonii Warszawskiej dwa jego koncerty fortepianowe: F-moll op. 21 i E-moll op. 11.

Pierwszy z nich, p. Jan Ekier, reprezentuje nowsze kierunki pianistyczne. Wykonanie koncertu F-moll nie było na najwyższym poziomie artystycznym, niemniej jednak artysta wczuł się głęboko w intencję Szopena i w jego interpretacji najlepiej wypadła druga część koncertu — largetto. Młody artysta ma przyszłość przed sobą i dobrze się stało, że dyrekcja Filharmonii Warszawskiej przedstawiła nam dwa odmienne kierunki pianistyczne. Publiczność oklaskiwała p. Ekiera z prawdziwym uznaniem i młody artysta zmuszony był wykonać na bis jeszcze dwa utwory Szopena.



Delfina Potocka śpiewa przy łożu konającego Szopena (wg obrazu T. Barriasa)

Fryderyk Szopen począł już komponować bardzo wcześnie, bo w ósmym roku życia. Szybko też został uznany za najlepszego pianistę wówczas w Polsce i wiadomość ta dotarła za granicę. Wymienione obydwa koncerty powstały mniej więcej około 20-stego roku życia naszego kompozytora i napisane były jeszcze w kraju, a wydane za granicą.

Do dziś oba koncerty zachowują swą świeżość i żywotność. Szopen był romantykiem, więc pisał w różnych nastrojach, zachowując swój genialny charakter i styl. W drugiej części koncertu F-moll upajające largetto jest jednym może z najpiękniejszych wynurzeń miłosnych wielkiego kompozytora i napisany pod wpływem uczucia do śpiewaczki Opery Warszawskiej, Konstancji Gładkowskiej. W trzeciej części tak jednego, jak i drugiego koncertu odczuwamy rytmy krakowiaka i mazurka. Akompaniament orkiestrowy do wspomnianych koncertów jest tylko uzupełnieniem, ale również utrzymanym w jego stylu.

Wykonawcami koncertu byli soliści pp.: Jan Ekier oraz Raoul Koczalski, a ponadto orkiestra Filharmonii Warszawskiej. Jeżeli chodzi o solistów wieczoru, to od razu odczuliśmy różnicę.

Co innego p. Raoul Koczalski. Jego subtelność uderzenia, doskonała technika palcowa, barwność i dynamika są naprawdę nieprzeciętne i tu mamy do czynienia z wielkim pianistą. Publiczność szybko zareagowała na wykonanie i artysta był zmuszony wykonać kilka utworów Szopena na bis, m. inn. Walca i Nokturn. Życzeniem tłumnie zebranej na koncercie publiczności jest, aby p. Koczalski częściej występował na koncertach w Filharmonii i czarował słuchaczy swoją grą.

Orkiestrę przygotowali i dygowali pp.: Mieczysław Mierzejewski oraz Tadeusz Wilczak. P. Mierzejewski i tym razem nie zawiódł oczekiwania. P. Wilczak prowadził orkiestrę dobrze przygotowaną i dostrajał się w zupełności do wymagań solisty.

St. K.

Film TYGODNIA

UROCZYSTOSCI ŻAŁOBNE KU CZCI 50 OFIAR TERRORU HITLEROWSKIEGO



Uroczystości żałobne w rocznicę śmierci 50 powieszonych przez Niemców bojowników PPR. Tłumy na Placu Teatralnym.



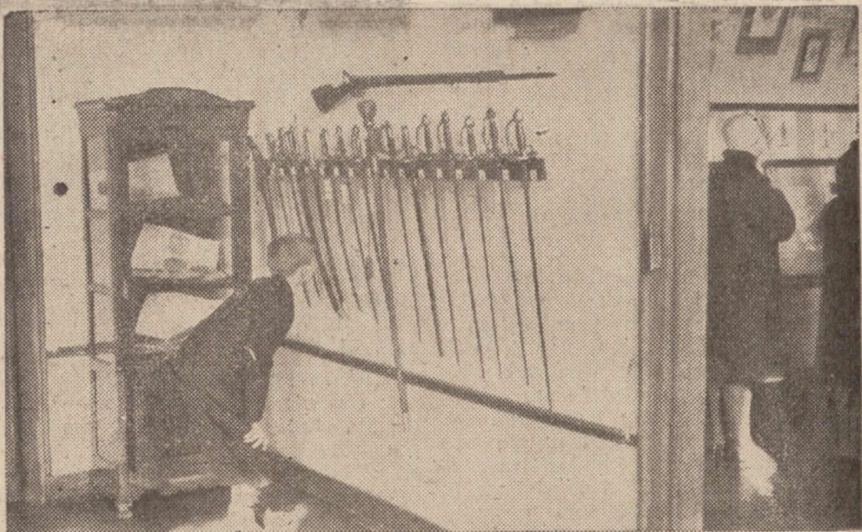
Żołnierze polscy i amerykańscy, wynoszą na barkach symboliczną trumnę po mszy żałobnej za dusze 75 lotników amerykańskich, poległych w Polsce w czasie wojny.



Prezydium I Zjazdu Ogólnopolskiego Tow. Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, w sali „Roma" w Warszawie, z min. Świątkowskim i przedstawicielem ambasady ZSRR Jakowlewem (w środku).



Sztandary partyjne podczas uroczystości.



Wystawa kościuszkowska w Muzeum Wojska w Warszawie.

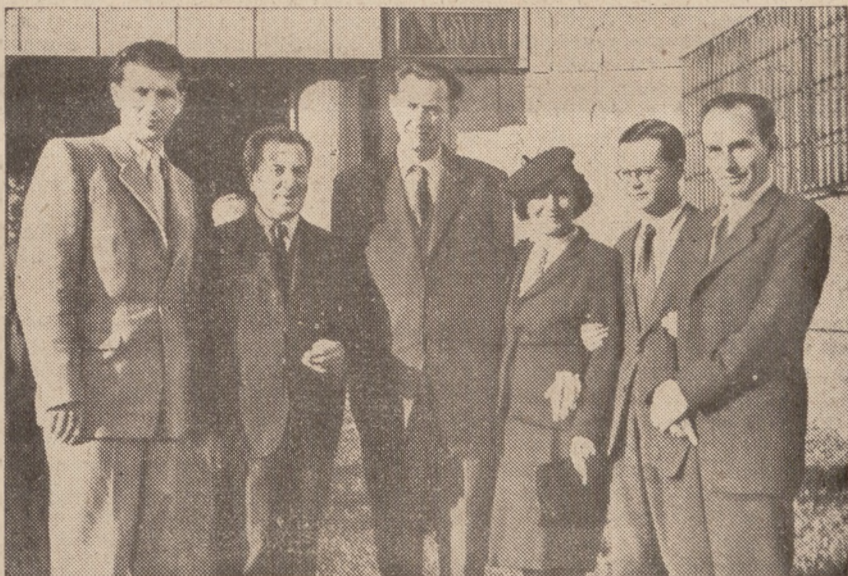
Książki i autografy na odbudowę stolicy



Fot. Film Polski

Literaci łódzcy sprzedają swoje książki na rzecz odbudowy Warszawy, zaopatrując je w autografy. Na zdjęciu Pasternak, Minkiewicz i Brandys.

Jugosłowiańscy goście w Warszawie



Fot. Film Polski

Wizyta pisarzy jugosłowiańskich w Polsce. Od lewej: D. Klemenczicz, I. Samokowlija, red. Kaleb, D. Maksimowicz, B. Konecki i T. Dżanodże.

Napisał dr Antoni J. *Ilustrował E. Bartłomiejczyk*

WARSZAWA przed STU LATY

Do druku podał Adam Mauersberger

Dr Antoni J. — czyli dr Antoni Józef Rolle (1830 — 1894) zanim osiadł w Kamieńcu, gdzie opowiadaniom kresowym poświęcał czas wolny od praktyki lekarskiej, jeździł na studia medyczne do Francji i Saksonii. Wtedy to znalazł się przejazdem w Warszawie. I właśnie z roku 1856 zachował się opis stolicy jego pióra, o ile przez wiek zmienionej, Czytelnicy osądzą.

Kto, w roku 1856 podróżował z Poznania do Warszawy, ten zażył trojakiej jazdy: poczt pruskich, poczt rosyjskich, wreszcie kolei z Łowicza do Warszawy. Do Słupcy, wsi granicznej między Królestwem a Prusami, jechałem pruską pocztą. Powozina licha, konie niczego, ale bez żadnego konduktora, zapewne dla oszczędności w administracji.

Po dosyć przykrej podróży, gdzie każdy o swych pakunkach musi sam pamiętać, jakoś się przecie zajechało do Słupcy. Tu komora rosyjska, a zatem ostre lustrowanie paszportów i rewizja rzeczy. Liczyłem się do szczęśliwych, gdym jedno i drugie przebył, lubo celnik tak dobitnie dawał mi coś do zrozumienia, że niewiele brakowało, aby mi poły u surduta oberwał. Wystawiając sobie rosyjskie poczty jako środek komunikacyjny, który co do ruchliwości mało nie wyrównuje niektórym ociężałym kolejom, spodziewałem się zażyć jeśli nie zbyt przyjemnej, to choć szybkiej jazdy.

Lecz grubo się omyliłem. Tak zwana kurierka, która mnie wiozła ze Słupcy do Łowicza, jest to niezgrabna landara o kołach ogromnych, raczej armatnich niż pocztowych, ciężka, najgorzej w świecie wytapicerowana: szkło w drzwiczkach powybijane (zimna szarga z deszczem i wiatrem do środka zalatywały), krótka w nogach, wąska w siedzeniu. A co najgorzej, że nikt twego miejsca nie szanuje i raz z niego na chwilę ustąpiwszy, pewnie go zajętym zastaniesz. Konie słabe ledwie „się wloką", szkoda, że nimi zwinne i ładne chłopcy powożą, a to dlatego, bo rząd rosyjski uwalnia pocztylionów od służby wojskowej, więc każdy ciśnie się do pocztowej trąbki.

Lecz nic pocieszniejszego nad intrygi po stacjach. Trzeba wiedzieć, że prawem przepisana liczba osób, którą do tego straszydła pakują, nie może przenosić dwanaście. Do miasta Koło jechało nas tylko kilkoro, więc dość było przestronnie, ale na poczcie w Kole czekało liczne nowych podróżnych zgromadzenie. Kiedy ich pakunki ładowano na wierzch pudła, ja miałem dość czasu wysiąść, aby się napić nektaru rosyjskiego—herbaty.

Alem gorzko to przepłacił. Bo powróciwszy i chcąc nazad wsiadać, zastałem cały powóz przepełniony, a na moim miejscu siedziały jakieś panie. Inny jegomość certował się ząb za ząb z pocztmistrzem, gdyż mu o to chodziło, aby jego znajomy w pilnym, jak mówił, interesie tą samą pocztą jechał. Pocztmistrz nie chciał na to zezwolić i konsultował innych urzędników. Byłem pewny, że kibitka zajedzie i porwie tego oponenta na Sybir, tak bowiem ostro stawiał się pocztmistrzowi. Aż tu targ w targ, coś ze sobą po cichu pomówili i w tej chwili landara dostała o jedną osobę więcej.

Cóż ze mną się stanie? Nie śmiem pań rugować, a konduktor baj — bardzo, zapchał się przed deszczem do swej ciupki na pudle i otulał baranami. Idę więc do kancelarii, pokazuję mój bilet kupiony jeszcze w Słupcy, a zatem na dawniejszej stacji i żądam miejsca. Nowe certamenta. Wreszcie po długich naradach, przy których cały pocztamt bardzo poważne miny stroił i ciągle między sobą po cichu debatował, umieszczono mnie, który byłem drugi do zapisu, na tak złym i niewygodnym miejscu, żem tylko z wielką rezygnacją i po przeproszeniach ze strony pocztmistrza jechać się odważył.

Złamani od trudów, stanęliśmy po całonocnej podróży nade dniem w Łowiczu, a gdym się dostał do dworca, myślałem, że jestem w raju. O zbawicielu mój! Cóżeś zawinił, żeś mnie wtedy tak karał? Jakież to niechlujstwo w wagonach pierwszej klasy! Czerwone wybicie nie tylko że zblakło i powalane, ale pokurczyło się, przesiąkło prochem i więcej podobne do legowiska niżeli do siedzenia. Pod nogami pełno śmiecia i nieczystości! Cóż się dopiero musi dziać w drugiej klasie? Wypada także wspomnąć o dziwnym zaprowadzeniu na tamecznych kolejach. W razie braku miejsc w wagonach drugiej, a nawet i trzeciej klasy, podróżni z biletami tychże klas siadają do klasy pierwszej. Otóż do mego coupé wpakowała się dama z czworoma małymi dziećmi, niańką i kilkoma poduszkami. Jadzieci kocham i kontent byłem z tego nowego towarzystwa. Dziecko przy piersiach matki śmiało się; to zaś co było na rękach u niańki płakało, a dwoje starszych tak smacznie zajadało chleb z masłem, że aż radość brała patrzeć na to. Później bądź przez przypięcie nowych wagonów, bądź też za ubyciem podróżnych, zrobiło się miejsce w drugiej klasie i konduktor, pełniąc swój obo-



Powozina licha, konie niczego, ale bez żadnego konduktora

wiązek, poprosił damę, aby się przesiedliła ze swoją familią. Nowy kłopot; albowiem poważna matrona nie chciała tego zrozumieć i wszelkie przedstawienia ze strony konduktora zbywała tym, że jej wcale dobrze na miejscu gdzie teraz zostaje. Widząc, na co się zanosi, nadto czując się być w Polsce, wziąłem cały interes na siebie i dałem konduktorowi do zrozumienia, że matka chętnie by się przesiadła, ale małe dzieci trudno, nawet niebezpiecznie przenosić z wagonu do wagonu w tych krótkich chwilach, jakie pociąg zatrzymuje się na stacji. W ten sposób załatwiłem spór między stronami o nierównych siłach, a moje zabiegi około tego zostały uwieńczone, bom nadal używał swobody i miny poważnego ojca familii.

Za to wszystko niemniej i za to, że po stacjach nieczyste restauracje i wielkie omyłki w wydawaniu reszty, przegrywała nam muzyka na przedostatniej stacji wcale niezłe melodie.

HOTELE. DOROŻKARZE I BRUK WARSZAWSKI. RESTAURACJE I INNE MIEJSCA PUBLICZNE. TEATRY.

Co mi się nie zdarzyło, ani po wielkich, ani po małych miastach za granicą, co mi nawet na myśl nie przyszło, aby w dzisiejszym składzie cywilizacji zdarzyć się mogło, tego doświadczyłem w Warszawie. Przyjechawszy, będziesz jeździł z hotelu do hotelu i nigdzie nie znajdziesz pomieszkania, czyli jak tam nazywają numeru. Dotądiśmy nie mieli kolei żelaznych, które niezmiernie pomnażają liczbę podróżujących, dopóty narzekania na brak domów zajezdnych nie były tyle uzasadnione, jak podobne narzekania teraźniejszych turystów. Po długich ceregielach, szukaniach i proszeniach — czy kto słyszał żeby w wielkim mieście za swoje pieniądze o co prosić? — ledwie nie ledwie i to jedynie za usilnym staraniem p. Lesz-niowskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej", dostałem pokój na Długiej ulicy. Dla pociechy tych osób, które po mnie zechcą zwiedzać Warszawę dodaję, że hr. Przezdziecki w spółce z jakimś bankierem kończył murować obszerny hotel na Saskim Placu, w którym mówiono mi ma być pokoi trzysta.

Rozgościwszy się raz w mej izdebce, z której się później przesiedliłem na ulicę Bielańską, myślałem, że na jej wyszukaniu zakończyły się moje cierpienia. Lecz nie tak się stało.

Nuż brudne kawiarnie, bruk twardy i brak porządków hotelowych dały mi się we znaki.

Najpierw dokończę o hotelach. Nie tylko, jakem wyżej powiedział, jest ich bardzo mało na takie miasto jak Warszawa — wszystkiego podobno dwanaście — ale i w tych, co są nie ma porządku. Pościel tak dalece niesmaczna, że chociaż z duszą i ciałem jestem za narodowością, sto razy wolę pościel niemiecką. Jeśli gdzie, to w Warszawie można się przekonać, że zbytek u Polaków nie jest ogólny, ale jedynie do takich zastosowany przedmiotów, które, nie służąc wygodzie, łechcą namiętność okazania się przed światem; co nawet inaczej być u nas nie może, gdyż nie sprzyjamy rozwojowemu czyli organicznemu postępowi, a nagromadziliśmy u siebie pod względem industrii gotowe dzieła wszelakiej doskonałości z różnych krańców świata.

I tak, nie mając porządnych wychodków po hotelach, mamy zastawne serwisy stołowe: brak schludnej pościeli ma być pokryty zawieszonymi w oknach storami, a miasto usłużnych garsonów zwija się jeden szwajcar — ale za to galonowany. Taki szwajcar czyli właściwie odźwierny, jest w wielkim uważaniu u mieszkańców z prowincji i na własne słyszałem uszy, jak pewna dama, odjeżdżając z hotelu, tym tonem mówiła do niego: „Panie szwajcar, bądź pan dobry". Nie trzeba ich brać za istotnych Szwajcarów: są to rodowici Polacy. Dlaczego i od kiedy tak przezwani, Bóg raczy wiedzieć.

Inna niedogodność dla hotelowych mieszkańców w Warszawie wynika z tego, że wynajmiciel pokoi nie jest wraz restauratorem, przeto dwojakie rachunki i płatnia dwojaka. Lecz zwyczaj ten istnieje prawie w całej dawnej Polsce, począwszy od karczem po miasteczkach i gościńcach, aż do hotelów warszawskich. Nawet w Krakowie zdybać się z nim można: we Lwowie zaś i w Poznaniu, tak jak wszędzie za granicą, hotelnik i restaurator jedną stanowią osobę.

Do potrzeb życia miejskiego należą najemne powozy, wszędzie w Polsce dorożkami, tylko we Lwowie fiakrami zwane. Zachwalane warszawskie dorożki wcale mi się nie podobały: budowa ich, lubo mocna i dość zgrabna, nie wznieca wielkiej ochoty do zajęcia miejsca na brudnym wybiciu. Żelazne stopnie same przez się nie są dla nóg miłe, a nadto u wielu dorożek tak wyślizgane, że przy wsiadaniu lub wysiadaniu łatwo się potknąć i bądź kontent, jeśli się na tym skończy.

Furmani jednako niby uliberowani w jakieś odzienie, ni to płaszcz ni surdut, z krótką peleryną, koloru brudno perłowego. Jeżdżą prędko; za to trzeba im nad taksę płacić. Taksa jest: od kolei do miasta 2 złp., za kurs w mieście 1 złp. 4 gr. Godząc się z nimi na wycieczki w okolice Warszawy — ponieważ omnibusów nie ma, więc koniecznie trzeba ich brać — miej się na ostrożności, gdyż nie są rzetelni w słowie. Tu wspomnę o jednym zwyczaju policyjnym. Trzeba wiedzieć, że rosyjska policja do tego stopnia przestrzega dyskretności, lubo sama nie jest bardzo dyskretną, iż nie dozwala palić cygar po ulicy. Cóż więc robi, kiedy kto, jadąc dorożką, przekracza ten mądry zakaz? Wołać na furmana, aby stanął i kazać palącemu wysiąść, to za wiele ostentacji. W takim więc razie krupi się wszystko na dorożkarzu: policjant notuje sobie numer jego powozu, przywołuje go do policji i za przekroczenie podróżnego odlicza mu szesnaście batów. Dlatego to każdy dorożkarz, jeśli z cygarem zbliżasz się do niego, wrzeszczy, co ma gardła: „Panie! Nie wolno palić".

Zawadiackiemu jeżdżeniu po ulicach Warszawy odpowiada niegodziwa twardość bruku. Snać i jak istotnie w zeszłowiecznych czytamy pamiętnikach — brnęli Warszawianie w głębokie błota, kiedy się aż do granitu uciekli. Zrazu nie czujesz żadnych cierpień, ale później coraz gorzej: najlżejsze i najdelikatniejsze obuwie nic nie pomoże i jakiś czas, dopóki przyzwyczajenie nie zwycięży, prawie chodzić nie można. Co najgorsza, że tylko gdzie niegdzie chodniki są płytami wyłożone, zwykle i po największej części użyto drobnych owalnych kamyczków granitowych. Ta twardość materiału brukowanego nie tylko nogi przechodniów atakuje, ale atakuje także ich słuch, bo gdy się zaczną zwijać powozy prywatne i dorożkarskie, to taki powstaje turkot, że aż uszy bolą; dalej atakuje ona koła u powozów i stąd powstał zwyczaj, że warszawscy siodlarze przy sprzedaży powozów dają cztery koła zapasowe.

Z trójki, która po miastach zaspakaja jadłowe potrzeby codziennego życia, a tą trójką jest: restauracja, cukiernia i kawiarnia, restauracje warszawskie zajmują bez wątpienia pierwsze miejsce. Kuchnia prawdziwie polską, o jakiej Lwów i Poznań już całkiem zapomnieli, a Kraków zapominać poczyna: usługa zwinna, nakrycie i ustawa stolików zgrabne i smaczne. Piwa warszawskie, tak zwane bawary, są bardzo dobrze robione i lekkie, dlatego pić się dają. Słyszałem narzekania, że od lat dziesięciu, jak te piwa nastały, czeladź rzemieślnicza miała się oddać pijaństwu. Wcale tego nie pochwalając, starałem się jegomościa opowiadającego przekonać, że rzemieślnikowi potrzeba pożywnego jadła i napoju: mówiłem, że bez tego, rozumie



Po długich ceregielach, szukaniach i prosceniach dostałem pokój na Długiej.

się w umiarkowanym użyciu, marnieją w nim siły fizyczne i dodałem, że nasz lud wiejski niezawodnie lepiej by pracował, gdyby mniej pił wódki, a żył dostatniej. Wszak maszyny trzeba smarować tłustością, jeśli chcemy, aby dokładnie i bez przerwy działały, cóż dopiero człowiek.

Lecz wracam do restauracji. Ceny jadła są różne, niższe i wyższe, stosownie do miejsca. W jednej z drogich restauracji na ulicy Senatorskiej zapłaciłem za zupę rakową, polędwicę i omlet 9 złp., ale porcje duże, jak u braci Provenceaux w Paryżu. Za cztery do sześć złp. (1 złp. = 25 centów) można mieć porządny obiad i pół butelki bawara. Wspominam o tych drobiazgowych rzeczach, jedynie dla okazania mylności tego ogólnie przyjętego mniemania, jakoby w Warszawie było niesłychanie drogo. Każdy jest sprawcą swego położenia i powodzenia, a wielkie miasta trzeba znać, aby darmo nie wyrzucać pieniędzy. Z własnego doświadczenia, bom je zwiedzał, mówię i upewniam, iż ani od Londynu i Paryża, ani od Wiednia, Rzymu i Neapolu życie w Warszawie nie droższe, zaś tańsze, niżeli w Berlinie; że nie tylko wygodne to przyznaję, ale za to nasze, rodzime, nasze.

Co do cukierni, jest ich mnóstwo w Warszawie i obfitują w doskonałe pieczywa i wykwintne cukry. Ustaloną reputację w towarzystwie męskim ma jedna cukiernia na Nowym-Świecie, do której z konieczności uczęszczałem, bo do warszawskich kawiarń nie sposób nie chodzić. Istotnie znalazłem w owej cukierni dobry wybór gazet i gości. Tam to odprawiałem moje posiedzenia z owym niespolszczonym Niemcem, o którym będzie niżej.

A teraz mam mówić o kawiarniach. Nie wiem, czy w całej Warszawie są dwie kawiarnie, w których nie dziewczęta, tylko chłopcy usługują. Jest to niesłychana anomalia, a razem wstyd dla mieszkańców. Polacy lubią kobiety i słusznie, bo gdzież istota, co by ich nie lubiła. Kobieta ma więcej gracji w wykonaniu swej służby, niżeli mężczyzna, ale tylko w pewnych miejscach, za obrębem których staje się służba żeńska dla jednych niewygodną, dla drugich nieznośną, a dla wszystkich nierozsądną. Trzeba zupełnie zapoznać cel kawiarni, aby używać w niej do posługi dziewcząt i tylko ten może na to chętnym patrzeć okiem, dla kogo środek między życiem czynnym a życiem wypoczynku jest: terra incognita. Kiedy w całej Europie, począwszy od kolebki kawy, od Konstantynopola, dalej przez Włochy, kędy kawiarnie nawet w życiu publicznym ważne odgrywają role, Francję i Niemcy — w żadnym, nazwisko „kawiarni" noszącym domu, nie ujrzysz usługujących dziewcząt, jedna Warszawa, która w innych względach tak skwapliwie, że nie użyję innego wyrazu, naśladuje obce zwyczaje i obyczaje, ta sama powtarzam Warszawa przechowuje do usługi prawie po wszystkich swoich kawiarniach najbezecniejsze plugastwo. Ani przeczytać uważnie gazety, ani też spokojnie pokrzepić się napojem; taka jedna lub druga flądra, choćbyś był świętej cnotliwości, zimny, inercji oddany, potrafi cię jednak z karbów wzruszyć, bądź ciągłym kokietowaniem, bądź też dotknięciem niby od niechcenia, bądź tysiącznymi **innymi sposoby. Czytam wprawdzie w** dawnych pamiętnikach o kawiarkach po dworach polskich i sam pamiętam, że w domu mego ojca był pewny pokój kawiarnią przezwany; ale my nie powinni narażać kompletnych porządków, jakie nasze przodki u siebie zaprowadzili, a które dziś tylko w Anglii znajdziesz, na zarzut rozpusty. Oni byli wzorem cnoty, jeśli nie publicznej to prywatnej, kawiarnie zaś warszawskie, uwzględniając nadto obrazy po ścianach, wypadałoby inaczej przezwać — i dopiero teraz przyznaję słuszność mej ciotce, która, gdym w czasie mego wychowania zostawał pod jej okiem, tymi słowy zakazywała mi chodzić do kawiarni: „Moje dziecko! Czerwone firanki w oknach kawiarni, są symbolem zepsucia tych domów".

Nieoszacowana kobieta! mówiąc to, musiała mieć na pamięci warszawskie kawiarnie. Nie przypisuję kawiarkom tyle znaczenia, abym aż twierdził, że to one, zniewieściwszy ród męski w Polsce, kraj do upadku przywiodły, chociaż wiadomo, że czasem okoliczność na pozór małego znaczenia, wielkie za sobą pociąga skutki; jednakże bez nadziei i warszawianie i w tym względzie ustąpią tegoczesnym wymaganiom: i **idąc za kilkakrotnym, jak słyszałem napomnieniem ze strony władzy rosyjskiej**, wyczyszczą raz te domy, które w innych krajach tyle dobrego przynoszą, bez tej mówię nadziei byłbym przepadł na oceanie zwątpienia o naszej przyszłości.

Kończąc tę może zbyt długą dygresję, dodaję, że kawiarnie i restauracje w Warszawie są w bardzo korzystnych lokalach umieszczone, zwykle z widokiem na ogród lub na taras. Spokój nie przerywany turkotem i ruchem ulicznym, niejednego zwabia gościa i świadczy o dobrym guście miasta.

Jeszcze kilka słów o teatrach. Jest ich w Warszawie dwa: „Rozmaitości" i tak zwany „Wielki", lecz obydwa znajdują się w jednym gmachu, co najniekorzystniej dla mieszkańców, ponieważ jednego wieczora nie dają przedstawienia w obydwóch teatrach. A że „Teatr Rozmaitości" jest szczupły, prawie o połowę mniejszy od skarbkowskiego we Lwowie, więc bardzo często brakuje w nim miejsca i publiczność, lubo jest dwa teatra, nie używa ich jakby można i jakby potrzeba: dusi się w jednym, a drugi zamknięty; dusi się w drugim, a pierwszy zamknięty. Czy ta ustawa stąd pochodzi, iż łatwiej policji jeden, niż dwa dozorować, tego nie wiem; lecz chciwość publiczności warszawskiej uczęszczania na publiczne widowiska, sprzeciwia się jej mocno. W „Wielkim Teatrze" nie byłem, bo mi się „Rozmaitości" nie podobały. Gra aktorów tak licha, że nawet ich akcentu nie można pochwalić. Co charakterystyczne, to wyrazy oklaskiwane np. „wszystko na świecie kupisz".



...a gdym się dostał do dworca, myślałem, że jestem w raju

SPOŁECZNOŚĆ WARSZAWSKA. MOWA POLSKA. STAN OBYWATELI W KRÓLESTWIE

Dopóki nie znałem Warszawy, nie sposób mi było rozumieć dziejów własnego narodu, a wybór króla zostawał dla mnie tak długo sfinksem, ażem w dorożkarzu, który mię zawiózł pod Wolę, uczynnego znalazł Edypa. Do wyobrażenia sobie wrzawy, hałasu i innych historyjek podczas sejmów, do wyrozumienia zajść między wysłannikami na elekcję, niemniej do wyrozumienia miłostek królewskich, nie dosyć jest **znać krew polską i polskich history**ków, trzeba nadto ze spokojem w duszy i bez namiętności w sercu przechadzać się po długich, przestronnych i rozległych ulicach; trzeba się przypatrywać pałacom, każdemu naznaczyć dawnego właściciela i przypomnieć, jaką w dziejach narodowych odgrywał rolę. Ale i krwi polskiej, zwłaszcza jak działała w ostatnich wiekach, nie poznasz bez zaznajomienia się z warszawianami. Litwin, Wołyniak, Prusak, Rusin, Ukrainiec i Wielopolanin całkiem są inni u siebie na prowincji, a inni w stolicy. Z flegmatyka robi się raptuśnik, mowę, starając się jej nadać giętką słodycz z gładką płynnością, poleruje; prędko chodzi i jeździ niepomału, rozczula się nad picią piękną i przyznaje, że nie ma nad warszawianki!

Mnie przynajmniej wydała się taką Warszawa w roku 1856. Lecz jej zwyczaje są te same, co w każdym zakącie Polski: pojedyńczość przy wykwintności, a z naśladownictwem obcego zatrzymanie, chociaż bez pielęgnowania tego, co swoje. Nie zapukawszy, wchodzi każdy do pokoju; chłopcy od szewców roznoszą na ramionach obuwie, a kobiety w koszykach kołnierzyki, ciasteczka i doskonałe pierniki; szlufirze jeżdżą z wózkami, uboższa klasa boso chodzi, zwyczaj dobry dla malarzy, bo ułatwia studiowanie stopy ludzkiej. Żydów mnóstwo, a tytuły: wielmożny panie, jasny panie, panie dobrodzieju — są w częstym użyciu. Pobożność równa się fanatyzmowi: mężczyzna z dzieckiem na rękach i z odkrytą głową staje na ulicy Miodowej, przed drzwiami zamkniętego kościoła, to klęka, to wstaje, to znów klęka, i to trwa przez jakie kilka kwadransów. Każdy, przechodząc koło kościoła, uchyla kapelusza; lampy świecić po kaplicach, kóre pierwej ubrano w kwiaty, jest zwykłym zatrudnieniem, a śpiewać do późna w wieczór naokoło tych kaplic, nazywa się modleniem.

Ubranie włościan pod Warszawą jednakże, jak innych naszych Mazurów; naiwna ich ostrożność ta sama, co i u Rusinów: pieniądz papierowy, byle trochę nadwerężony, już brać go nie chcą. Własną swoją chudobę niemiłosiernie katują. Widząc koło karczmy pod Wierzbną konika z okropną na całym grzbiecie raną, pytam chłopka, siedzącego na wózku: „Wasz koń był zapewne w ogniu; czy by też nie można dać mu folgi i nie zaprzęgać, dopóki nie wyzdrowieje?" „Nie panie — odpowiedział — to ja go tak bił, bo nie chciał ciągnąć". Z tego poznałem, że w Warszawie pewnie nie istnieje towarzystwo przeciw dręczeniu zwierząt.

Od niższych klas przejdźmy do wyższych. Kiedy w innych polskich dzielnicach używanie obcej mowy coraz więcej ustaje, w Warszawie wstydzą się poniekąd mówić po polsku. Takie poddanie się pod francuszczyznę niczym nie można usprawiedliwić, bo narodowość polska, lubo podkopana z niejednej strony, bynajmniej nie jest jeszcze tyle zwątlałą, aby o własnych siłach ostać się nie mogła, owszem, obce podpory i obce żywioły więcej jej szkodzą, niż pomagają. Samowolne wynarodowienie prędzej uchodziło za króla Poniatowskiego: brano to na karb próżności; ale dziś nie pielęgnować ostatniego swego dziedzictwa, mowy? To się nie godzi. Poznańskie wiedzie bój ze rządem o narodowość; w Galicji, przy dobrych chęciach, nie zawsze i nie wszędzie wiedzą, co pol-



...taka jedna flądra, choćbyś był świętej cnotliwości potrafi cię z karbów wzruszyć

skie, a co obce, w jednej Warszawie, gdzie jest centrum polskości i narodowości, ludzie, jak widać, niewiele o nią dbają, a społeczność, która może być, nie stara się być polską. Sąż to skutki niewoli, czyli nieuwagi?

Nazywać Warszawę małym czyli polskim Paryżem, a Polaków „północnymi Francuzami", uchodziło dawniej za honor — teraz stało się obelgą. Kiedy już się tak koniecznie podobało, dajmy zagranicą wolniejszy bieg naszym narowom; kilka razy bowiem zdarzyło mi się w tej podróży słyszeć towarzystwa polskie ustawicznie po francusku rozmawiające, ale u siebie w domu rozum nakazuje być tym, czym się jest.

A przecież co za śliczna ta nasza mowa polska w ustach warszawskich, jak czysta, jak śpiewna! W porównaniu do niej każdemu innemu dialektowi jest coś do zarzucenia: krakowskiemu nieco szorstkości, wschodnio-galicyjskiemu rusinizm, poznańskiemu brak harmonii. Warszawianie mówią prędko i nigdy im słów nie brakuje, ton ich pieściwy, przeciągający; a najpojedyńczejsze wyrazy, np. „panie", „co", nabierają tam dziwnej melodii i niezwykłego uroku. Zrazu zdawało mi się, że to jest owocem francuskim, czyli naśladowaniem paryskiego dialektu, który podobnie się ma do innofrancuskich jak warszawski do resztopolskich; ale uważniejsze przysłuchiwanie się przekonało mię, że nawet ludowe klasy, obczyzną nieskalane, jednaką mają wymowę.

Zresztą uprzejmość, gościnność i miły ton w towarzystwach zawsze kwitną w Warszawie. Właściciele ziemscy nie stracili jeszcze pańszczyzny, ale włościanów liczba o wiele zmalała przez mór i przez rekrutację; najem za pieniądze stał się niezbędnym. Rok 1848, który poddaństwo prawie w całej Europie zniósł, zaprowadził w Królestwie tak zwane tabele prestacyjne, czyli wykazy podawane ze strony dworów do urzędów, co do użytków z danin i robocizny włościańskiej. Wskutek tych tabeli skasował rząd darmochy, do czego się liczyły pomniejsze obowiązki, np. obowiązek wypożyczania worów; skasowanie zaś darmochów wywołało mnóstwo procesów, które gminy, zwłaszcza kolonie niemieckie na przeciw swym dworom prowadzą. Chłopi bowiem myślą, że z darmochami zniesiono wszelką pańszczyznę i nie chcą jej odrabiać. Spory te prowadzą się dwojaką drogą: administracyjną — czyli jakby w Galicji nazwano polityczną — lub sądową; druga nie tyle jest bałamutna, co pierwsza, owszem pewniejsza. Mówiono mi, że śniadania w cukierni Loursa, wielkie co do sposobu ich załatwiania mają znaczenie. Jeśli w Królestwie przyjdzie do zniesienia pańszczyzny, a więc i poddaństwa, to obywatele tamtejsi, nawyknieni do wystawnego życia i do trzymania włościan w surowej zależności, nie lada medycynę społeczną będą mieli do strawienia, zanim się poskromią w wydatkach i ułożą w postępowaniu.

(Dokończ. w następnym numerze.)



U POETÓW

Bogdan Kamodziński

DALEKA PAMIĘĆ

Wiersze ze zbioru pod powyższym tytułem przygotowywanego do druku

Przedwiośnie w miasteczku

Słomiane płoną ognie po stopionym śniegu,
W rynnach bębni codzienna monotonia wody,
Nad oknem w nostalgicznym obłoku zalega
Blask cieklisty po brzegach wezbranej pogody.

Szumi krawędź tej zimy, zarósł ją barwinek,
Co zielenieje w cieniu na starym cmentarzu
I tutaj brzoza biała tak samo przeminie,
Jak wszystko, co ta wiosna na pamięć powtarza.

Młyn wodny i powodzią zerwany tu mostek,
Dom w olszynach podmokłych — zostały pamiętne.
Teraz pewno, jak dawniej, wodzą się tam drozdy
I szpaki po ogrodach wśród jabłoni wpięte.

Wieje obłok wysoki, błyszczący i śnieżny,
Na tle platyny w świateł górnych panoramie,
Wiatr błękitny z nim leci i wiosnę tę brzeży,
Jak wszystkie przeminione w miasteczku tak samo.

Ekspress w nocy

Płomień na szynach dudnił jak gromy.
Między borami rozbijał czerń —
Ogień żelazny i gwizd ogromny
Między ciemnością ostry jak nerw.

Stukały taktem łuki nad mostem,
Tłoki bokami zrywały świst.
W górze kurzawą, jak igły ostre,
Noc zagorzała miliardem rys.

Noc dygotała i czarna rzeka,
Pierwsza maszyna niosła ten żar,
Czerwień żelazna nożami siekła
Między ciemnością rozbity jar.

Północ

Na gołoledziach ciemno, jelenia leży kość.
Na północ wielka droga, zanadto groźny step.
Równiną nie przeliczyć, ile tu wilczych wiorst,
Ile tu krwawych zębów, jakiej tu trwogi szept.

Na zgorzeliskach śniegu noc sekund bije takt.
Do kresu lądu nocy czas mierzy ostra rtęć.
I tu jak widmo z lotu polarny szumi ptak,
A najtragiczniej płynie po ziemi biała śmierć.

Od widnokręgów wyją jak gdyby stada chmur,
Od klęski gołoledzi zniża się wieczność zim,
I nagle białe wilki równiną wbiegły w nurt
Melodii borealnej przez kły nieczułych dni.

Z popiołów

Popiół jest martwy, nie pada w goryczy,
Gdy światło tworzy jego mit i sens,
Choć lasy giną, w których wiatr skowyczy,
Choć groby milkną na wieczysty sen.

Nie ma tej wody, gdzie zorza niejedna
Na ciemność rzeki kładła ostry lont.
I nimb historii jak obłok bezwiedny
Płynie w nicestwo. Mgła niesie mu zgon.

Więc milczą blizny twarde ziemi grudą.
Wieki z ich łożysk zrzuca czasu śniedź.
Gwiazdy nad nimi płoną ogniem rudym
I one muszą śród popiołów lec.

Ale się pocieszy światełkiem, legendą...
I tym, że wiosna martwy zbudzi park.
Jaskółki znowu czepiać gniazda będą
W miejscu, gdzie pożar domów kamień żarł.

Śnieg

Gwiazdkami kwiatów śpiewające
Niepoznawalne bzy nadpłyną.
I bardzo jasne w srebrze drżące
Zimnieją senną w pieśni zimą.

Strumień gron zimnych z wody stromej
W lamie nawianej łuny tonie
I diament lodu — lotny płomień
Obdzwania ziemię — w zimę dzwoni.

Lecz platynowa wejdzie odwilż
Planet maleńkich mgły pociekną
I śnieg rozkropli się podwodny —
Zaginie wtedy śpiewność śniegom.

Nie naszym muzom

Gorеją w urnach święte popioły
Dziejów umarłych, czynów natchnionych.
Lecz jak odnaleźć przyszłość aniołom,
Jasnym mieszkańcom krypt zaciemnionych?

Jakiej legendy łuną i glorią
Zostanie dla nich rzecz strasznych zdarzeń?
I miastom czarnym i wiosnom ornym
Jakże im stanąć zaciętą twarzą?

Jasne anioły samotnie płaczą,
Mitycznie dawne, nie nasze muzy.
A nam krew ciekła grozą przeznaczeń
I rwała brzegi młodości późnej.

Nam już do rdzenia, do głębi śmierci
Wiek na dno zguby pożarem padał.
Im świętej w urnach przekazem wersji
Tylko opowieść zostanie blada.

Indianie

Indianie będą konno jechać przez sawannę,
Wielki gryzly się w skałach da jeszcze we znaki
Zagalopują konie o grzywach rozwianych
I Duch Puszczy się zemści na wodzu Osagów.

A gdzieś w Arizonie albo gdzieś w Nebrasce
Będzie pożar i stepem uciekną zwierzęta —
Traper mchem się kierując w lesie jak kompasem
Old Shatterhanda spotka przy Skale Przeklętej.

Wpadnie Ralf — złodziej koni — w straszną Lyncha pętlę...
Bloody Foxa ocalą w Llano Estaccado,
Lecz w Meksyku hacjendę zniszczono doszczętnie
I dziś na wschód od Frisco na pociąg napadną.

Rio Grando del Norte i rzeka Czerwona
Górski pył z mokassynów wymyją i znowu
Las się pali, jest wojna, kalumet zgaszony —
Patrzy z konia w dal prerii sławny Winnetou.

W TYGODNIU RTPD

WSPOMNIENIE Z KOLONII



Do Polski przybył dyrektor ogólnoświatowego Komitetu Narodów Zjednoczonych Donald R. Sabin (w okularach, który z dyrektorem oddziału w Polsce p. Earl H. Bell odwiedził przedszkole RTPD na Żoliborzu.

Spędziłam kiedyś półtora dnia na koloniach RTPD, oddziału Warszawskiego, pozostającego pod kierownictwem p. Romany Kiełbasińskiej.

Już sam wybór miejsca—Śródborów świadczy o wartości spędzonego tam czasu przez dzieci. Suchy piach chrzęści pod bosymi nogami, nad głowami szumią leniwie wysokie sosny, a dom, wprost zalany słońcem, każe zbliżającym się doń, mrużyć oczy. W sieni zatrzymuje nas czysto ubrana kobieta, która zbiera rozlaną wodę na podłodze. Jest to końcowa faza szorowania hallu. Schody, pociemniałe od mycia, pachną mokrym drzewem i ciągną oczy nieskazitelną czystością. Codziennie zmywa się tak starannie parę sypialni, czy jadalni, tak, że wypada co najmniej dwa razy w tygodniu szorowanie każdej izby. Właśnie, w jadalni stawiają aluminiowe talerze i kładą łyżki. Wkrótce obiad. Dostaję wraz ze wszystkimi porcję barszczu z kartoflami, barszczu, po którym pływają wielkie, jak te dziecinne oczy tłuszczu. Barszcz przyrządzony na „wychowankach" kolonii, karmionych samymi odpadkami i pomyjami. na czarno - różowych świnkach.

Patrzę z niekłamaną satysfakcją, jak znikają w czeluściach młodych gardzieli półlitrowe porcje, mogące zaspokoić apetyt spracowanego dorosłego urlopowicza. Jajka na twardo z kaszą, polane pomidorowym sosem, podzielają los barszczu. Nawet kasza, która na ogół ma niewielu amatorów, znajduje tylko jeden głos sprzeciwu: specjalnie kapryśnej osoby, której kaprysy podsyca dom, wyrażając się brzydko o kaszy. Nakarmionych 150 żołądków, zgodnie z regulaminem, odbywa wraz z resztą ciała przymusowy godzinny wypoczynek, kończący się zazwyczaj snem. Dla nie-śpiochów brzmi głosem przyciszonym, podobnym do bzykania dużej muchy, sączona w uszy bajka, którą odczytuje opiekun, również jak i dzieci odpoczywający na polowym łóżku, nakrytym kocem.

Po godzinie zacznie się ruch i gwar i będą się wzmagać, aż ujmie to w karby zorganizowanej zabawy opiekunka, czy opiekun. Wówczas to dzieci zażywają radości współżycia ze sobą, radości zawodnictwa, radości wspólnoty, a także ujawniania się wartości indywidualnych na tle zorganizowanego, zespolonego życia w gromadzie. Razem śpiew, razem gimnastyka, razem wycieczka, razem zabawa: a w tym wszystkim mały Tadzio okazuje się najzręczniejszym gimnastykiem, Wicuś najwytrwalszym szybkobiegaczem, Maniusia najbystrzejszą poszukiwaczką „zagubionego" przedmiotu, a Hania posiada tak giętki kręgosłup, że bez trudu robi „most". Czas szybko płynie wśród lekkich zajęć, które, właściwie wszystkie, należy nazwać rozrywką, bo nawet da się pod tę nazwę podciągnąć słanie własnych łóżeczek z rana i składanie staranne ubrań przy łóżku po rozebraniu się wieczorem.Czas płynie, na koloniach dla dzieci, jak łagodnie niesiona wiatrem łódka, od brzegu do brzegu: od jedzenia do zabawy, od zabawy do jedzenia.

A za tym wszystkim stoi 26 osób personelu: połowa technicznego, połowa opiekuńczego. Pierwszą, podległą sobie armią dowodzi doświadczona już pani Helena Łopuszańska, druga podlega dowództwu p. Ireny Makowskiej, również nie pierwszy (i nie ostatni na pewno) raz prowadzącej kolonie dla milusińskich.

I dopiero, kiedy się przyjrzymy mrówczej pracy tych wszystkich osób, wtedy dopiero widzimy całą wartość kolonii, w ich niereklamowym, ale rzeczywistym aspekcie. Już godzina piąta rano zastaje personel techniczny przy „warsztatach": w kuchni, spiżarni, pralni, w magazynie żywnościowym i odzieżowym. Dzieci bowiem na tej kolonii dzielą się na „przybyłe" i „powodziańskie". Jest bowiem od powodzi wiosennej około 80 dzieci, które nie tylko śpią i jedzą, ale zostały ubrane od stóp do głów, dzięki przybyłym zza morza darom amerykańskim. Wygląd dzieci powodziańskich jest w tej chwili taki sam, jak dzieci z miasta, które przyjechały z domów rodzinnych. Czysto ubrane, uczesane, najedzone, uśmiechnięte.

Pani Łopuszańska dwoi się, troi, po prostu uwielokrotnia, aby wszędzie być obecną i wszystko swym argusowym spojrzeniem obrzucić. Wzrok jej sięga tam, gdzie sięga ręka kucharki, uzbrojona w dużą ścierkę, którą wymywa się czeluść dwustulitrowego kotła, oko jej wślizguje się do magazynu, aby jednym spojrzeniem objąć i otaksować ilość potrzebnego danego dnia produktu: trzeba dokupić, czy nie trzeba? Nim jeszcze to skończy, już przybyły z majątku, wyznaczonego dla RTPD, owoce i należy posegregować je, aby zużyć właściwie. Ledwie ta praca skończy się, trzeba natychmiast zająć się rozdzieleniem bielizny po praniu, bo to sobota i jutro wszyscy milusińscy będą pachnieć i jaśnieć olśniewającą czystością. A i przygotowanie podwieczorku niedzielnego, znacznie smaczniejszego i obfitszego również pochłonie mnóstwo czasu: trzeba upiec słodki placek, rozdzielić sprawiedliwie 4 kg cukierków i odważyć odpowiednią ilość kakao. Rolę legendarnej Marty spełnia pani Łopuszańska z nieustającym uśmiechem, którego ślady odnajdujemy nawet w chwilach, bardziej udanego, niż prawdziwego, „złego humoru".

Gdy dzieci wracają z kościoła, czeka je wielka przyjemność: przyjechali rodzice, aby je odwiedzić i obdarzyć swoje pociechy dodatkowo smakołykami. W niedzielę kierowniczka kolonii ma specjalnie trudne zadanie: rozmowę z rodzicami. Ile dzieci — tyle pretensji. W domu nie można sobie było rady dać z urwisem, a na koloniach pragnie się mieć przerobiony charakter dziecka w ciągu czterech tygodni. Pretensje o brudne nogi pochodzą chyba ze specjalnej złośliwości, gdy się wie, że dziecko dla zdrowia cały dzień boso, lub w trepach na bose stopy biega po piasku, wybitnie miałkim, zmieszanym z prochem z leśnego podszycia.

Na pewno żadne z rodziców nie podjęłoby się, jak te młode wychowawczynie, często rekrutujące się z dziewcząt, które jeszcze dwa, trzy lata temu, same na kolonie takie jeździły, bezustannego czuwania nad wszystkimi poruszeniami pupilów. Doskonała proporcja opieki w stosunku do ilości dzieci 14 — 150, co wypada mniej więcej 1 na 10, pozwala młodym opiekunkom pod wytrawnym kierownictwem pani Makowskiej, doglądać dzieci stale, stale mieć je na oku, komenderować nimi, wychowywać je. Niewiele z drobnych przestępstw, przeważnie dyktowanych lenistwem, ujdzie spojrzeniu takiej opiekunki, czy młodego również, opiekuna chłopców. Dzieci, nawet nie wiedzą kiedy, wdrażają się do porządku, posłuszeństwa, solidarności, prawdomówności i uczciwości. Wszystkie te wartości nabywane przez nich na koloniach dzięki niezmordowanej, najcięższej, bo nieustającej pracy wychowawców, wsączają się powoli, nieznacznie w młode dusze i nawet nie wie taki mały delikwent, kiedy mu się dobra rada, zakaz, ostrzeżenie lub pochwała przypomną i odegrają swoją rolę w jego życiu. Jeden wyjedzie z kolonii od razu inny, przejęty wartością zorganizowanego życia w spólnocie, drugiemu dopiero czas we właściwym dla niego momencie przywiedzie na pamięć przeżycia sprzed lat dwu, pięciu czy piętnastu, aby kazać mu się zastanowić i nieraz... zmienić postępowanie.

Dzieci są zazwyczaj wdzięcznymi odbiorcami prawdziwych, szczerych wysiłków swych kierowników. Niedobrze bywa jednak z rodzicami, którzy nie tylko nie współdziałają z kierownictwem, ale wręcz podważają wartość ich wielkich, szlachetnych i przemyślanych wysiłków. Te kilka uwag poświęcam choćby tym rodzicom, którzy zapowiedzieli swemu dziecku przed wyjazdem: „kaszy nie jedz, dość masz kaszy w domu". To bardzo brzydko. Na szczęście, są i tacy rodzice, którzy błogosławią pobyt swych malców w zespole kolonijnym i często słyszy się następujący zwrot: „Wacek, a żebyś tak sobie wymył uszy, jakeś mył na koloniach. A nim cię poznała wtedy. Myślałam, że to nie moje dziecko..."

Jeden dzień pobytu w Śródborowie, to nie tylko przyjemność oglądania opalonych, najedzonych twarzyczek i błyszczących radością oczu — to wiele momentów szacunku i podziwu dla niezmordowanej energii i przemyślanej taktyki wychowawczo - opiekuńczej personelu, począwszy od kierowniczki, a skończywszy na czysto ubranej tzw. „pomocy", która przed moim odjazdem krajała trzechsetną porcję chleba i smarowała ją słodkim twarogiem do kipiącego w kotle prawdziwego kakao.

Jan. Was

FELIETON ASTRONOMICZNY

Jan Kott z „Odrodzenia" i Stefan Żółkiewski z „Kuźnicy" stoczyli krótki ale ognisty spór o współczesną literaturę polską. Pokazało się z niego że, właściwie tej literatury jak gdyby nie było. To jest — w ciągu dwóch lat niepodległości rozbłysło na jej widnokręgu kilka czy kilkanaście gwiazd, ale jakoś gasną one, i nie są to gwiazdy, do jakich naród w daremnej tęsknocie wytęża dłonie. Na prawdziwą literaturę, na tę literaturę, którą Kott czy Żółkiewski nazywają „wielkim realizmem" (jest to termin zapożyczony od Francuzów), wciąż jeszcze czekamy. Może wreszcie łaskawe przeznaczenie ześle nam jakiego wielkiego twórcę, niby nowego Mojżesza, który wyprowadzi na koniec lud swój z domu niewoli, tj. z tych przesądów, przeżytków i grzechów przeszłości, jakie nas obciążają, powstrzymując rozwój prawdziwej, rzeczywistej, istotnej literatury.

Nie mogę się mieszać w spór Kotta z Żółkiewskim, pamiętam bowiem słowa Szekspira: „biada słabym istotom, gdy się dostaną pomiędzy ostrza potężnych szermierzy"! Chciałbym tylko powiedzieć, że spór ich nie jest żadną nowością w dziejach krytyki literackiej, nie tylko polskiej, ale wszechświatowej. „Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala i wciąż obrazy odsłania te same" — jakby powiedział poeta: narzekania krytyków na brak wielkiej twórczości, na małość swych współcześników, powtarzają się w historii z regularnością obrotu ziemi dokoła słońca. „O, gdyby choć jedna pierś była zrobiona nie według miary krawca lecz Fidiasza!" — ten okrzyk Słowackiego może służyć za hasło wszystkim krytykom na całym świecie.

Dlaczego krytycy zwykli narzekać na niedostateczność literatury współczesnej? Być może dlatego, że łatwiej jest krytykować niż tworzyć, łatwiej komenderować niż wykonywać rozkazy. I łatwiej zdobyć rozgłos komenderowaniem czyli dunderowaniem (mówiąc językiem ludu), niźli cichą, mozolną pracą, którą dopiero czas i potomność należycie i wedle zasług ocenia. Toteż pospolitym zjawiskiem w historii jest to, że pisarz nieuznawany przez współczesną sobie krytykę, wynoszony jest po śmierci na pomniki, okrzyczany natomiast za życia krytyk tonie potem szybko w niepamięci. Ale, oczywista, przyjemniej być okrzyczanym za życia niż sławnym po śmierci.

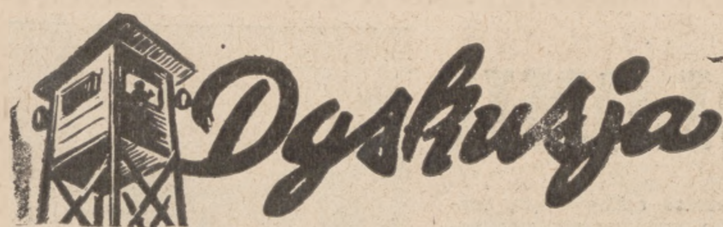
Z drugiej strony, krytyka popełnia często ten błąd, że zbyt pochopnie przyznaje jakiemuś pisarzowi tytuł wielkości. Jeśli Kott czy Żółkiewski uskarżają się, że zgasło u nas kilka gwiazd, które tak olśniewająco przed dwoma laty zabłysły, ogół może mieć pretensję do tych astronomów, co wskazali na owe gwiazdy, wołając: patrzcie a klękajcie, bo oto gwiazdy pierwszej wielkości! Trzeba było poczekać. Trzeba było sprawdzić swoje obliczenia, prześledzić dokładnie bieg gwiazd owych po niebie, rozpatrzyć je w różnych położeniach, i dopiero potem wyrokować. Bo wiadomo, że bywają różne rodzaje gwiazd: są gwiazdy stałe, nawet tzw. podwójne, gwiazdy zmienne, gwiazdy spadające czyli meteory, które zaświecą wspaniale i giną na zawsze. O pomyłkę w segregacji nietrudno. A skutki pomyłki bywają opłakane. Ogół, któremu wskazano fałszywą gwiazdę, lud, który miał w nią wierzyć, doznaje zawodu i traci zaufanie do swych astronomów; astronomowie źli są na siebie; fałszywa duma nie pozwala żadnemu z nich uderzyć się w piersi, więc zrzucają odpowiedzialność jeden na drugiego wytykają się palcami, wiodą gorszące kłótnie, które ich jeszcze bardziej pogrążają; co się zaś tyczy gwiazd fałszywych, te —. albo wbite w pychę, chcą dalej świecić, choć się im to nie udaje; albo, pełne goryczy i niemocy, przeklinają astronomów i żalą się na niewdzięczność ludu, który się od nich odwraca.

Dlaczego astronomowie krytyki mylą się nieraz w ocenie gwiazd czyli pisarzów? Rozmaite bywają tego przyczyny. Niekiedy astronom nie ma potrzebnej wiedzy i umiejętności i zabiera się do nieswojej rzeczy; dzieje się wówczas to, co zaobserwował już w swej bajce Kryłow: biada, gdy ciastka zacznie piec szewc, a buty szyć cukiernik! Czasami się zdarza, że astronom jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, ale dopuści się błędu nierozmyślnie, co jest rzeczą ludzką i do wybaczenia, albowiem kto nie błądzi, ten nigdy nie pozna prawdy. Najgorzej bywa wówczas, gdy astronom powoduje się swymi upodobaniami i sympatiami do gwiazd: ta gwiazda mu się podoba, więc wmawia w ludzi, że jest najwspanialsza; tamta, niewiedzieć czemu, wydaje mu się brzydka, więc wpiera we wszystkich to przekonanie.

Gdy czytamy nasze pisma astronomiczno-krytyczne, widzimy, że każde z nich ma swój gwiazdozbiór: „Odrodzenie" swój, „Kuźnica" swój, „Nowiny Literackie" swój, „Tygodnik Powszechny" swój, „Dziś i Jutro" swój... Niektóre z tych gwiazdozbiorów nie mogą się nigdy skomunikować, jak Wielka Niedźwiedzica nie skomunikuje się z Krzyżem Południa; inne gwiazdozbiory ciążą ku sobie, np. Gwiazda Kisiela w „Tygodniku Powszechnym" ku Gwieździe Dobraczyńskiego w „Dziś i Jutro"; blask takich gwiazd bywa niekiedy odbiciem wzajemnym: gdy Kisiel oświetla Dobraczyńskiego w swych artykułach, Dobraczyński natychmiast przydaje jasności Kisielowi w swoich.

Wobec tego, że astronomia jest wiedzą głęboką, metafizyczną w pewnym sensie, kosmiczną i wiekuistą niejako, muszę ten felieton zakończyć akordem planetarnym jak gdyby, mgławicowym. Niech nim będą słowa poety, zwrócone do ambicji najrozmaitszych gwiazd: „ze światem, który w ciemność już zachodzi, wraz z całą tęczą idealnych snów, prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi, i wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi, w ciemnościach pogasną znów"!

Jerzy Wyszomirski



„O DUSZY GEFANGENA" trwa

Artykuł Tomasza Domaniewskiego „O duszy gefangena", dałem do przeczytania mojemu piętnastoletniemu bratankowi.

— Przeczytaj sobie — powiedziałem — o mojej byłej duszy.

Przeczytał, popatrzył jeszcze raz na rysuneczki Winczego i uśmiechnął się.

— Komik jest ten pan De.

— Tak, artykuł jest napisany dowcipnie — mówię do chłopaka. — I dobrze po dziennikarsku.

— Ja się, stryjku, nie znam na pracy dziennikarskiej. Ale dowcipny ten autor chyba nie jest. Naprawdę — komik.

— Nie rozumiem. Nie chcesz chyba powiedzieć czegoś obraźliwego o autorze — patrzyłem na chłopca surowo. — To znany, dobry dziennikarz.

— Niech sobie będzie. Ale przy tym komik. Bo z tego artykułu wynikałoby, że stryj, że wujek Rysio i pan Stanisław i szereg znajomych, których bardzo szanuję, to, niech mi stryj wybaczy słowa, kupa ludzi wykolejonych i chorych.

— Nie przesadzaj, tego autor nie napisał.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego stryj broni tego pana. Stryja koledzy ,którzy siedzieli razem ze stryjkiem w obozie i to, zdaje się, w tym samym obozie, o którym pisze pan De, są teraz ministrami i wiceministrami. A co robi poza artykułami pan De. Więc dlaczego, o zaraz, tutaj, niech stryj przeczyta, dlaczego on tak współczuje. Komu on współczuje? Stryjkowi, może wiceministrowi Kultury i Sztuki, może dyrektorowi K. z Ministerstwa Oświaty, a może ministrowi Pracy i Opieki Społecznej?

— No, minister Pracy i Opieki Społecznej siedział z nami krótko, więc nie zdążył poddać się zgubnym wpływom gotowania kaszy na kuchenkach obozowych. Potem poszedł do obozu koncentracyjnego.

— Właściwie, wie stryjek, szczęście ma taki pan De, że nie ma ustawy o obrazie Rządu. Bo, można by się tego w artykule dopatrzeć i faceta wsadzić.

— Zaperzyłeś się niepotrzebnie, przesadzasz. To właściwie jest tylko zabawne, może, jak ty mówisz, komiczne. A najzabawniejsze, że to współczucie dostaje się także zastępcy dyrektora naczelnego „Tygodnia", który panu Domaniewskiemu za artykuł pełen współczucia dla niego — redaktora, zapłaci jakąś tam wierszówkę.

PLASTYCZNIE I FAŁSZYWIE

Zmieniłem temat rozmowy. Artykuł nie był pisany dla piętnastoletnich chłopców. Artykuł przeznaczony jest dla osób dorosłych, dla czytelników „Tygodnia". Ma ambicje pokazać społeczeństwu byłego jeńca wojennego, „wrześniowca", jego i jego duszę. I pokazuje plastycznie i fałszywie.

Fałszerstwo obrazu jeńca i jego duszy wynikło z generalizowania obserwacji i ocen. Żeby nie popełniać tego samego błędu stwierdzimy na wstępie: w artykule T. Domaniewskiego jest szereg obserwacji i wniosków trafnych. Obok nich są jednak nietrafne, z gruntu fałszywe i dlatego cały artykuł, tu już można sobie pozwolić na generalizację, jest merytorycznie zły.

Gdyby postawa krytyczna autora w stosunku do kilku tysięcy oficerów — jeńców polskich, których spotkał w „Oflag Grossborn" wynikała w niechęci do zmasowanej grupy polskiej inteligencji, nieznanej w świecie pretensjonalnej „klasy" ludzi — było to zrozumiałe, łatwo by to nawet można podzielać.

Jeszcze na długo przed przyjazdem jeńców z powstania warszawskiego, bo już w październiku 1939 roku, zdania jeńców na temat wartości elementu oficerskiego, zgromadzonego w Oflagu były podzielone. Większość rozpaczała nad tym, co się stanie z Polską, skoro „śmietanka" społeczeństwa zamknięta została za drutami. Mniejszość twierdziła, że nic złego się nie stanie, albowiem ta śmietanka inteligencji polskiej nie jest najlepszej jakości. Jest to śmietana, w którą ktoś wlał zupełnie coś innego. Ten stosunek opinii zachował się do końca, wykazując tendencję do zwiększania się grupy źle myślącej o „śmietance".

O MOJEJ BYŁEJ DUSZY

NASŁUCH POD STRAŻĄ WACHMANA

Wróćmy do artykułu.

Nie było w obozie tak źle z wiadomościami ze świata jak sobie p. D. imaginuje. Otrzymywaliśmy, oczywiście — nieregularnie, nawet prasę aliancką, nie mówiąc o krajowej prasie podziemnej, z którą część powstańców poznała się dopiero wtedy, gdy ta prasa już nie była podziemną — w okresie powstania. Jako dobry dziennikarz powinien był p. D. wiedzieć, że „sześciolatki" nie ssały wiadomości podawanych w codziennej gazetce, czytanej konspiracyjnie — z palca.

Że były w obozie trzy odbiorniki radiowe, za którymi od lat węszyła „abwehra". Że te aparaty zostały przez „sześciolatki" zabrane w 750 kilometrowy marsz głodowy. Że kiedy przedsiębiorczy koledzy z AK, jak o tym ze słuszną dumą pisze p. D., ruszali na postoju do sąsiedniej wioski robić transakcje chlebowe z Niemcami, starzy dziennikarze „sześciolatkowi" podłączyli na kwaterze aparat i pod takt kroków wachmana, chodzącego przed stodołą słuchali najświeższych wiadomości stacji alianckich. Gryzmolili w ciemności na świstkach papieru, a nazajutrz na postojach marszowych dowiadywały się „sześciolatki" i koledzy z powstania o wydarzeniach politycznych, o postępach ofensywy na Wschodzie i na Zachodzie. Aparaty doniesione zostały przez „sześciolatków" do Sandbostel, przeszły przez rewizję, (rewidowani znowu zobaczyli w perspektywie — pluton egzekucyjny) i działały aż do uwolnienia obozu przez „tomies". I znowu p. D. powinien by wiedzieć, jak dobrze działały na puchnących z głodu.

„Sześciolatki" głodne były wiadomości o powstaniu. Szczegółowych, dokładnych i... prawdziwych. Gdy do obozu przyszła wiadomość, że w najbliższych dniach przywieziona zostanie grupa polskich oficerów z powstania — w obozie zapanowała powszechna choć paradoksalna trochę — radość. Naturalnie, że spodziewano się wtargnięcia się do obozu kawałka Polski żyjącej i walczącej. Naturalnie. że uznaliśmy, iż przyjeżdżają do nas dzielni koledzy żołnierze, którym los pozwolił walczyć jeszcze przed tygodniem. Choć znowu oceny koncepcji powstania były podzielone i mieściły się w dużym wachlarzu. Ale wiedziano komu robić zarzuty.

ŚWIĘTY KANT — BŁOGOSŁAWIONE OSZUSTWO

Atmosfera serdeczności trwała nie przez dwa czy trzy dni od przyjazdu powstańców. Trwała znacznie dłużej. Trwała nawet wtedy, gdy „sześciolatki" zauważyły, że większość koszul, które sprezentowali „biedakom z powstania" powędrowały do obozowej kantyny. Trwała nawet jeszcze, gdy w kantynie zjawiły się: złoto, kamienie, kosztowności, z których grubsze oferowane były za „grube lagermarki", a drobniejsze za kawę, właśnie. Trwała, gdy w kantynie zjawiły się po raz pierwszy od sześciu lat „lipne" amerykańskie papierosy. Jeszcze nie generalizowano.

Po pewnym czasie atmosfera napięcia serdecznych uczuć ustąpiła nastrojowi lekkiego zobojętnienia. Lekkomyślna część powstańców zaczęła pod wpływem kawy („bimbru" w obozie nie było) napomykać o niepodobieństwie przeżycia sześciu lat w niewoli bez fatalnych skutków psychicznych, o życiu, o bohaterstwie, o przedsiębiorczości. Lekkomyślni spośród „sześciolatków" zaczęli z nieprzyjemnym grymasem na twarzy mówić o przedsiębiorczości typu okupacyjnego, o świętości kantów, o błogosławionym oszustwie. O nieuctwie, i zarozumialstwie. Rozpoczął się fatalny okres uogólniania.

Ale bogate życie psychiczne obozu „sześciolatków" płynęło obok powierzchownych obserwacji i generalizujących ocen, nurtem coraz bardziej nerwowym w miarę zbliżania się wolności. Najwartościowsze jednostki spośród ludzi z powstania w nurt ten włączyły się od początku. Ludzie nauki zwąchali się z tymi „sześciolatkami" których nazwiska znane były w nauce polskiej przed wojną i którzy od sześciu lat uczyli chętnych. Ludzie pióra z przedwojennymi literatami.

Dużo kolegów z powstania chodziło na przedstawienia obozowego Moliera czy Shawa. Zdumieni byli nie tylko dziwnością tego teatru, ale i jego poziomem. Tym już nie były potrzebne artykuły o teatrze w obozach jenieckich, artykuły, które ukazywały się i ukazują w periodykach krajowych i które otwierają oczy na intensywność kulturalnego życia obozu jenieckiego.

Na zebrania organizacji politycznej przychodzili ludzie, którzy do powstania robili w polityce w kraju i wyrażali zdziwienie na widok dokładnego odbicia układu stosunków i prądów panujących w kraju. Na zebraniach demokratycznej lewicy obozowej nie przychodziło ich zbyt wielu.

ŻEBY ZAUWAŻYĆ, TRZEBA — WIDZIEĆ.

Naturalnie, wszystko to nie było trudne do zauważenia dla dobrego dziennikarza, jakim jest p. D, gdyby mógł obserwować z dostatecznie bliskiej odległości. Lecz z artykułu wynika jasno, że p. D. w obozie w Gorssborn nie był i duszy „gefangena" w owym okresie obserwować nie mógł. Był — obok na tzw. Hundebergu, gdzie została umieszczona grupa uczestników powstania z płk. Karolem Ziemskim na czele. Z baraków na górze, w których przed przyjazdem jeńców powstańczych mieszkały dziewczyny z B.D.M., mógł widzieć dymy unoszące się nad kawą gotowaną w obozowych expressach. Z tych dymów, oraz późniejszych relacji nieszczęśliwie wybranego informatora wysnuł p. D. pełną fantazji i błędów opowieść o duszy gefangena.

Nie mógł również, i to wynika z artykułu, obserwować duszy „gefangena" w czasie marszu z Grossborn do Sandbostel. Szedł, jak sam pisze w grupie płk. Ziemskiego. Poszczególne grupy odbywały marsz samotnie i spotkały się dopiero po 700 km. marszu — w obozie w Sandbostel .Dlatego piszący nie ma podstawy kwestionować trafności obserwacji autora, jeżeli chodzi o zachowanie się grupy płk. Ziemskiego. Był bowiem w innej. Z wyjątkiem może rzekomego „przeciekania przez ręce" Niemców. Ani spośród „maciborków" nie było wielu chętnych do ucieczki, ani powstańców do niej nie korciło zbyt silnie. Przyszli do Sandbostel prawie wszyscy, co już p. D. mógł łatwo zauważyć, bo sam także wmaszerował między druty tego obozu.

Energia, inicjatywa, przedsiębiorczość jeńców z AK jest poza dyskusją. Nie można jej było porównywać z „maciborkową" ani w czasie marszu, ani po uwolnieniu. Po uwolnieniu — na początku chwalebna, stała się plagą polskich oficerów obrońców, broniących Polaków przed sądami aliackimi za przestępstwa głównie czarnego rynku. Tutaj znowu AK biło „sześciolatków" na łeb. Biło ich także, jeżeli chodzi o niechęć do pracy „komitetów powrotu do kraju". Ale to jest sprawa oddziaływania płk. Ziemskiego i jego sztabu.

W Brukseli i Paryżu mógł p. D. zaobserwować, że nie był jedynym akowcem, wędrującym po rue St. Michel czy rue Neuve. W Paryżu, w naszej ambasadzie skarżono się, że nie wiadomo byłoby, co robić z tymi powstańcami, gdyby nie to, że zwracają się o opiekę polskiej misji wojskowej „londyńskiej". „Sześciolatków" spotkałem w Paryżu trzech, wszyscy w przyzwoitych ubraniach cywilnych, chociaż jeden z nich klepał biedę osładzaną urokiem Sorbony. Naturalnie z tego spotkania nic dla ogólnej charakterystyki — nie wynika.

NAWET DLA ŚWIĘTEJ WIERSZÓWKI

Przykłady są niebezpieczne ,jeżeli nawet nie są wyszukiwane w pobliżu latryny. Na konkretnie przedstawione wypadki upokarzającego lub podejrzanego psychopatycznie zachowania „sześciolatków" nie mam rady. Jestem świadkiem negatywnym. Nie widziałem, lub widziałem inne, nie tak ostre lub widziałem nie u nich.

Ale oceny wielkiej, różnorodnej grupy ludzkiej uogólniać nie wolno. Zwłaszcza, jeżeli ma się talent pisania plastycznego i sugestywnego. Zwłaszcza ,kiedy się jest dobrym dziennikarzem; chyba, że się nim nie jest. Jeżeli się wychodzi ze współczującego stanowiska, że człowiekowi stała się krzywda, nie wolno jej lekkomyślnie powiększać. Nawet dla świętej wierszówki. A poza tym: nie zostaje się generałem przez generalizowanie; nawet wśród dziennikarzy.

Mieczysław Ziemski

Zeznania świadka
NA PROCESIE GEFANGENÓW

W związku z artykułami: p. Tomasza Domaniewskiego i p. Marka Sadzewicza, drukowanymi w poprzednich numerach „Tygodnia", a traktującymi o „duszy gefangena", chciałbym także zabrać głos.

Nie byłem w obozie w Sandbostel, gdzie siedzieli obaj autorzy wspomnianych artykułów.

Siedziałem natomiast w Woldenbergu (Dobiegniewie), tzw. Oflagu II-C, znanym dziś w Polsce z tego, że zamknięto w nim około 7.000 oficerów, tj. 1/3 wszystkich oficerów, wziętych do niewoli niemieckiej w 1939 roku.

Bo czegóż właściwie chcecie dowieść, panowie?

Czy tego, że wszyscy jeńcy z 1939 r. są idioci („w całym tego słowa znaczeniu nienormalni"), czy też tego, że wszyscy powstańcy są złodziejce?

To nie jest, proszę panów, polemika na odpowiednim poziomie.

Niech i mnie wolno będzie uciec się do niezawodnego podstępu, stosowanego z powodzeniem przez obu moich poprzedników: zastrzegam się więc podobnie, jak i oni, że nie chcę być złośliwy, mówiąc, że taka dyskusja ma w sobie coś z argumentacji małego Jasia:

— „To nie ja jestem łobuz, ale ty jesteś łobuz".

Te dwa głosy, nabrzmiałe wzajemną niechęcią, słodzoną zapewnieniami, że sądzi się bez złośliwości i uprzedzeń, zasłuchane (o ile głos słyszy), tylko w szmer własnych myśli — żywo przypominały mi „klimat" i „ducha" typowych dyskusji jenieckich.

Ale wtedy, Szanowni koledzy, byliśmy naprawdę wytrąceni z równwagi i pozbawieni właściwej perspektywy w ocenie rzeczywistości.

Przepraszam obu autorów, że dla wydobycia istotnego „klimatu" tej dyskusji — nie przytoczę dosłownie waszych wypowiedzi, ale podam je w pewnej trawersacji, która ponadto podkreśli to, o co właściwie naprawdę Wam chodzi.

Leżę więc na swej pryczy (tej najwyższej, koło umywalni) i słyszę słowa:

— „Cóż oni są winni, biedacy, „godni najgłębszego współczucia", że siedząc sześć lat w niewoli, „gdzie się zresztą sami nie zamknęli" (podziwiam tu bystrość spostrzeżenia), zidiocieli troszeczkę".

I następnie:

— „Dopiero wtedy, gdy wyście do nas przyszli, wy — „powstańcy" (cudzysłów użyty zgodnie z oryginałem p. Sadzewicza), zaczęło się u nas złodziejstwo i szaber. Przynieśliście do naszego obozu słowo „szaber", którego myśmy w ogóle nie znali, my, dobrze wychowani, dobrze ułożeni oficerowie „przedwojenni"; my, którzy mieliśmy taki kramik „obsłuż się sam", gdzie nigdy nic nie zginęło. Dopiero, gdy wy..." itd.

O dobrym wychowaniu i ułożeniu — to już moja fantazja.

Ale chyba o taki właśnie wzór „sześcioletniego dżentelmena" chodziło autorowi, gdy twierdził, że u nas nikt nikomu nigdy nic nie ukradł, i że zagubiony w ciasnocie przedmiot, „choćby to był nawet złoty zegarek niezawodnie się odnalazł".

A tymczasem, gwoli złożeniu świadectwa prawdzie, stwierdzam, że tak wcale nie było.

Kradli u nas i przed przyjściem powstańców.

Trudno! Parszywe owce znajdą się w każdym stadzie.

*

Ale właśnie dlatego, nie można było zostawić przed barakiem „pellkartofli", czy tytoniu bez opieki, „choćby na całą noc", bo nie zawsze, ale często ktoś coś ukradł.

Ba! Kradli nawet pomidory z grządek, pieczołowicie uprawianych przez naszych „ogrodników".

P. Sadzewicz stara się ozdobić umęczone głowy swych towarzyszy aureolą świętych; chciałby zrobić z sześciolatków niedościgły dla powstańców wzór cnót dżentelmeńskich i oficerskich.

Z wielką satysfakcją przyznaję, że poziom moralny jeńców z 1939 roku był na ogół dość wysoki.

Ale... unikajmy przesady.

Byłoby również pożądane unikać przesady i uogólnien przy wygłaszaniu sądów o powstańcach, które sugerują, że w środowisku tym panował element nieomal wyłącznie przestępczy.

Nikt nie dowiódł w sposób rzeczowy, że odsetek jednostek przestępczych wśród powstańców był istotnie większy, niż wśród „starych jeńców".

Gdyby rzeczywiście nawet tak było, to nie zapominajmy o tym, że powstańcy przyszli do nas prosto z walki, w czasie walki pojęcie własności staje się elastyczne i mało ważne, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o taką własność, jak jedzenie, czy papierosy.

Pocoż więc, nie mając na to właściwie żadnych danych, ciskać gromy na głowy powstańców z wyżyn doskonałości?

Obrona przez natarcie dała znakomite rezultaty Fochowi, gdy bronił Francji; jako metoda prowadzenia dyskusji nie została jednak uznana.

* * *

P. Domaniewski w artykule o „Duszy gefangena" dość ryzykownie i, powiedziałbym — nieforturnnie — zapuścił się w dziedzinę psychologii jeńca.

Byłoby może wszystko w porządku, gdyby autor nie dał się ponieść temperamentowi i w sądach dotyczących tego zagadnienia, zachował pewien umiar: uniknąłby wtedy przesady i uogólnień.

Aby zdać sobie sprawę, w jakiej mierze sądy jego są słuszne, przyjrzyjmy się pewnym faktom:

Oficerowie z 1939 r. siedzieli w niewoli przymusowo 5 i pół lat.

Najbardziej energiczni i odważni przez cały czas trwania niewoli próbowali ucieczek, przeważnie zresztą nieudanych, kończących się albo zastrzeleniem albo powrotem za druty.

Trudno stwierdzić rzeczowo i właściwie nie o to tu chodzi, kto się lepiej spisywał: powstańcy czy „macjborki", ale fakt podejmowania ucieczek przez wielu „starych jeńców" może służyć za dowód, że nie byli oni w ostatnim roku niewoli stadem biernych baranów, pędzonych na Zachód. Że potrafili natychmiast, gdy tylko nadarzyła się okazja, rozwinąć aktywność i przedsiębiorczość. Proszę bowiem nie wyobrażać sobie, że ucieczki wtedy były łatwe i pozbawione wszelkiego ryzyka.

Faktem jest także, że życie jeńców w obozie było zupełnie nienormalne.

Składał się na to cały szereg przyczyn, które pokrótce omówię, wraz ze skutkami, jakie one wywoływały:

a) Ciasnota pomieszczeń, dająca w efekcie nieustające kłótnie, sprawy „honorowe" i... dyskusje.

b) Złe odżywianie, którego skutkiem były wszelkiego rodzaju choroby, a poza tym... niekończące się dyskusje na temat składu paczek, wysyłanych przez wszystkie państwa zaprzyjaźnione i neutralne; ważenie przydziałów na precyzyjnych wagach, „by nikt nie był o pół grama skrzywdzony".

c) Brak kobiet. W tym miejscu przepraszam wszystkie panie Dulskie i wszystkich moralistów płci męskiej. „Świat bez kobiet", ściślej bez płci odmiennej, w wypadku, gdy się taki zdarzy — to prawdziwa tragedia.

Można się o tym przekonać eksperymentalnie: w tym celu wystarczy pójść na 6 lat do niewoli.

Brak kobiet — to prawdopodobnie jedna z najważniejszych przyczyn „dziwaczenia" jeńców. Sądzę, że na tym tle wychował się właśnie niejeden „w całym tego słowa znaczeniu wariat". (Byli tam i tacy).

Jest to dość oczywiste: pozbawienie organizmu jednej z najistotniejszych funkcji fizjologicznych — musi w końcowym efekcie prowadzić do zaburzeń w tymże organizmie.

Pocieszającym był fakt, że mniej „odporni" jeńcy „woleli" zwariować, niż uprawiać homoksealizm.

Odsetek pederastów w obozie był znikomy; stwierdzenie „natężenia" homoseksualizmu było bardzo łatwe, nawet w latrynie nie było samotności, jak to słusznie podkreślił p. Domaniewski. Sporadyczne „wypadki" były na tychmiast wykryte i wszyscy o nich wiedzieli.

Byłoby więc wskazane, by p. Domaniewski nie rozpowszechniał legendy o pederastii w obozach przez niedomówienia, pełne wymowy, na ten „bolesny, nieporuszony temat".

d) Brak pożytecznej i celowej pracy. Dla „zabicia" czasu jeńcy wymyślili przeróżne zajęcia. Stworzyli życie kulturalne (biblioteki, teatry, koła naukowe, odczyty); masę czasu i papieru poświęcali na likwidowanie „zatargów honorowych", uczyli się wszystkich języków, jakie istnieją na świecie.

A cóż miał robić „gefangen", który chciał zachować trzeźwość myślenia w tej istnej wieży Babel, gdzie różnojęzyczne słówka, „wkuwane na głos", kłóciły się ze sobą w ciężkim powietrzu?

Taki grał w karty, albo malował, albo handlował, albo studiował.

Studiował: matematykę, fizykę, chemię, astronomię, biologię, filozofię, ekonomię, botanikę itp.

Reasumując, powiedziałbym, że normalny film życia przerwał się dla „gefangenów" w 1939 r. na ekranie zamiast obrazków i scen, szybko następujących po sobie — stanął nieruchomo obraz z datą 1939 roku. Zapatrzeni w ten obraz tracili jeńcy właściwą perspektywę w ocenie zjawisk, tracili szeroki oddech, jaki daje przestrzeń i wolność.

Jeżeli „prawdziwe" życie porównać można do wartko płynącej rzeki, to życie w obozie kojarzy się z obrazem stojącej kałuży wody.

Niewola była okresem wegetacji, okresem utajenia funkcji życiowych, podobnym do zimowego snu niedźwiedzia.

* * *

Wniosek o „nienormalności gefangenów" był oczywisty.

Łagodzenie efektu tego wniosku definicją, że „człowiek nienormalny" — nie znaczy to samo, co „wariat" (wiadomo: każdy głupi ma swój rozum) — chybia celu.

W języku polskim słowa: „nienormalny człowiek" — oznaczają to samo, co słowo „wariat" (dodajmy: nieszkodliwy).

Są to po prostu synonimy.

Jakie bowiem jest kryterium, które pozwala odróżnić „wariata" od człowieka „normalnego"?

Jedyne: właśnie wariat postępuje, reaguje, krótko mówiąc, zachowuje się „nienormalnie", tj. inaczej, niż zachowuje się jego otoczenie w tych samych warunkach i sytuacjach.

Przy posądzaniu bliźnich o nienormalność należy być ostrożnym. Poucza o tym następująca, autentyczna historia o pluszowym niedźwiadku, jaka miała miejsce w Oflagu II-C:

Pewien „gefangen" wysłał swej żonie w paczce z zabawkami zaszyte w pluszowym niedźwiadku 20 dolarów.

W kilku kolejnych listach starał się zwrócić uwagę żony na owego niedźwiadka. Po upływie pół roku, w odpowiedzi na rozpaczliwe zapytania o losy „misia" dowiedział się, że podniszczoną zabawkę podarowano Jasiowi, synkowi dozorcy.

Zrozpaczony „gefangen" w następnych listach zażądał odebrania niedźwiadka, popruciá go, naprawienia i zawiadomienia o rezultatach.

Ale w listach żony, mimo ciągłych dopytywań, o „misiu" nie było już mowy.

Pewnego dnia „gefangen" ów został wezwany do „abwehry". Był zdziwiony uprzejmym przyjęciem i dopytywaniem o stan jego zdrowia. Odmówił jednak kategorycznie, gdy zaproponowano mu, aby pozwolił się zbadać psychiatrze. Abwehrowcy oznajmili mu wówczas jak najuprzejmiej, że powinien to zrobić z uwagi na swą żonę, która jest zaniepokojona stanem jego zdrowia, w związku z urazem psychicznym, jaki u niego wystąpił na punkcie pluszowego niedźwiadka.

Historia, o ile mi wiadomo, zakończyła się rozwodem.

* * *

Nawiązując do obu, wymienionych na początku artykułów, uważam, że powierzchowne obserwacje i subiektywne spostrzeżenia, dokonane w pewnym środowisku, nie mogą stanowić podstawy do wygłaszania uogólnionych sądów pod adresem całego środowiska, zwłaszcza wtedy, gdy są krzywdzące.

Uogólnienia takie, nie poparte rzeczową argumentacją, — są, że tak je nazwę, uogólnieniami „reporterskimi".

MIECZYSŁAW CYBULSKI

PRZYKŁADY NIE SĄ DOWODAMI

Po przeczytaniu repliki p. Domaniewskiego na mój artykuł pt. „Gefangeńskie porachunki" początkowo nie zamierzałem odpowiadać. Mniejsza ostatecznie o skierowane do mnie ad personam epitety. Mocne słowa nie zawsze idą w parze z mocnymi argumentami. Czytelnik sam zważy ciężar jednych i drugich. O co innego tutaj chodzi. P. Domaniewski, replikując „streścił" mój artykuł w sposób delikatnie mówiąc nieścisły. Kto przeczytał tylko replikę p. Domaniewskiego, nie znając mojego artykułu, będzie miał fałszywe pojęcie o zajętym przeze mnie stanowisku.

P. Domaniewski pisze m. in.:

...„fakt ten (mowa o pewnych faktach, przytoczonych przez mnie, do tyczących zachowania się w niewoli **niektórych** jeńców wziętych do nie woli z powstania) nie upoważnia Pana przecież Nieuleczalny Uogólniaczu do określenia wszystkich powstańców jako bandy łobuzów... kierowania zarzutów pod adresem Wy — „powstańcy"...

Gdybym rzeczywiście coś podobnego napisał — nie potrafiłbym się usprawiedliwić. Całe jednak szczęście, że sens mego artykułu jest nieco od wrotny.

Przecież to właśnie ja zarzuciłem p. Domaniewskiemu wyciąganie wniosków ogólnych na podstawie poszczególnych faktów. P. Domaniewski przytacza w artykule „O duszy gefangena" szereg swoich obserwacji na temat zachowania się poszczególnych jeńców — wrześniowców i wyprowadza z tego wniosek, że ogół „sześciolatków" to ludzie nienormalni. Ja przytoczyłem ze swojej strony szereg niemiłych faktów, dotyczących zachowania się również **poszczególnych** jeńców z powstania.. I za demonstrowałem na przykładzie, do jakich musiałbym dojść wniosków ogólnych, gdybym posłużył się metodą p. Domaniewskiego. Absurdalność takiego rozumowania podkreśliłem dość, zdaje mi się wyraźnie. „No i do ładnych doszlibyśmy rezultatów. Z jednej strony starzy jeńcy kompletnie zidiociali. Z drugiej — „powstańcy", szabrownicy i oszuści. — Ładne towarzystwo. Co?" A dalej: „Ale na szczęście czasy to już przeszłe. Można pozwolić sobie i na odrobinę obiektywizmu... wydaje się... pewne, że wśród „warszawiaków" t. zn. wziętych do niewoli w rezultacie powstania element przestępczy stanowił tylko niewielką część". Chyba dość wyraźnie.

Nawiasem mówiąc, sugestia — jakobym próbował „dyskwalifikować" powstańców wygląda niepoważnie.

Powstańcy, jako grupa bojowa, nie potrzebują obrońców, ani apologetów. W historii polskich zmagań zbrojnych mają kartę dość mocną i piękną, żeby ją można było tak oto sobie podważyć, gdyby nawet ktoś usiłował, albo żeby p. Domaniewski potrzebował jej bronić.

Cała rzecz sprowadza się do tego, żeby z poszczególnych faktów i obserwacji nie wyciągać zbyt pochopnych uogólnień. To właśnie zarzuciłem p. Domaniewskiemu i nic więcej. I to nie ja okazałem się, jak mi się wydaje „Uogólniaczem". Gdybym ostatni artykuł p. Damaniewskiego („O maciborku") chciał poczytać za reprezentatywny przykład publicysty ki jakiejś grupy czy okresu, doszedłbym do wniosków smutnych, ale nie słusznych i krzywdzących — dla danej grupy czy okresu, a także być może — dla samego p. Domaniewskiego, którego znamy przecież i z innych publikacji.

A więc — nie uogólniajmy, bo przykłady nie są dowodami.

Marek Sadzewicz

PRZED SEJMEM SPÓŁDZIELCZYM

25 — 26 LISTOPADA — ZJAZD „SPOŁEM"

W całym kraju odbywają się wybory do samorządu „Społem". W wyniku wyborów powiatowych ponad trzy tysiące ludzi weszło w skład Rad Oddziałowych, powiększając tym wydatnie aktyw spółdzielczy. Odtąd Rady Oddziałowe — przedstawicielstwo czynnika społecznego — współpracować będą stale ze „Społem" i ze spółdzielniami. Ich troską będzie rozbudowa gospodarcza spółdzielczości w terenie, kontrola działalności organizacji spółdzielczej, planowanie sieci sklepów spółdzielczych, czynna współpraca z zawodowym aparatem spółdzielczości.

Kwestią intensywności pracy Rad Oddziałowych będzie, o ile czynnik społeczny zespoli się i powiąże z ogólną organizacją „Społem". Już dotychczasowe doświadczenia, z pierwszego, krótkiego okresu działania Rad Oddziałowych wskazują na to, iż droga ta rzeczywiście prowadzi do silniejszego powiązania aparatu zawodowego spółdzielczości z czynnikiem społecznym i jego opinią.

Jednym z zadań Rad Oddziałowych będzie współdziałanie z Komisjami Powiatowymi w planowaniu sieci sklepów. Według ogólnych wytycznych sieć ta planowana jest w ten sposób, ażeby jeden sklep spożywczy przypadał na 1000 mieszkańców, jeden zaś sklep branżowy w ośrodkach miejskich na 5000 mieszkańców. Poza udziałem w planowaniu zadaniem Rad Oddziałowych będzie również dopilnowanie, żeby plan był wykonany.

Ta działalność planowania jest tym bardziej donosła na tle uderzającej dynamiki rozwojowej spółdzielczego aparatu gospodarczego. Ogółem w I-szym półroczu 1947 r. przybyło 3.223 sklepy spółdzielcze, w tej liczbie największą grupę stanowią sklepy spożywczo - kolonialne i wielobranżowe bo 2.708. Pozostałych 515 to inne branżowe. Domów Towarowych w ciągu półrocza przybyło 20, ponadto 791 składów.

Silne tendencje rozwojowe wykazują również wytwórnie przy spółdzielniach. Powstało więc 118 piekarni, 18 masarni i 40 wytwórni wód gazowych. Nie jest to może zbyt dużo, jednakże trzeba pamiętać, że wszystkie te wytwórnie wymagały dość znacznych nakładów inwestycyjnych.

Równolegle z akcją rozbudowy organizacyjnej i gospodarczej prowadzona była akcja pogłębiająca. Opierała się ona na założeniu, że ruch spółdzielczy powinien podejmować zadania nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale i społecznej. Wpływała na to świadomość, że rozwój gospodarczy spółdzielni jest w znacznej mierze uzależniony od uświadomienia społecznego i gospodarczego członków. W tym zakresie w każdej spółdzielni odbyło się doroczne Walne Zgromadzenie członków i w miarę możności jedno, lub nawet dwa zebrania informacyjno - propagandowe.

Przywiązywano również dużą wagę do uaktywnienia Rad Nadzorczych, oraz Komitetów członkowskich. W ciągu półrocza powołano ponad tysiąc Komitetów członkowskich z liczbą ponad 6000 członków. Wybory do samorządu „Społem" stanowią pogłębienie i ukoronowanie tej akcji. Po zakończeniu wyborów powiatowych w ośmiu województwach odbyły się Zgromadzenia Okręgowe. Zgromadzenia odbyły się w Krakowie, Szczecinie, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie, Gdańsku, Wrocławiu i Białymstoku. W pozostałych sześciu województwach Zgromadzenia Okręgowe odbędą się w ciągu października. Zadaniem ich będzie wybór delegatów na zjazd główny według następującego klucza: 1 delegat od każdego typu spółdzielni danego okręgu i 1 delegat na każdych 30 tys. członków danego typu spółdzielni. Łącznie w obradach zjazdu głównego, zwanego popularnie „sejmem spółdzielczym", weźmie udział 107 delegatów.

Przebieg akcji wyborczej nacechowany jest dużym zainteresowaniem, frekwencją i spokojem. Na nastrój rzeczowości i spokoju wpływa brak walki politycznej pomiędzy partiami. Wybory odbywają się pod kątem gospodarczym i społecznym, a nie politycznym.

„Sejm spółdzielczy" odbędzie się w Warszawie w dniach 25 i 26 listopada. Zjazd dokona wyboru władz „Społem", oraz zadecyduje o ewentualnych zmianach strukturalnych Związku.

Z życia placówek spółdzielczych

ODDZIAŁ POWIATOWY
w Sokołowie Podlaskim

Przed wojną istniała w Sokołowie Podlaskim tylko Składnica „Społem" organizacyjnie przynależna do Oddziału w Siedlcach. W październiku 1944 r. Składnica przekształcona została na Oddział Powiatowy (ul. Kolejowa 9).

Działalnością Oddział obejmuje cały powiat, zaopatrując w towary 45 spółdzielni różnych typów i zatrudniając 32 pracowników.

Poza działem kolonialno - spożywczym Oddział prowadzi artykuły tekstylne, materiały budowlane i opałowe oraz — hurtownie: wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych.

Obroty Oddziału w 1945 r. przyniosły 13.477.000 zł, a w roku ubiegłym wzrosły do 84.795.000 zł (w tym wyroby P.M.S. — 29.359.000 zł). Na rok bieżący preliminowano obroty w kwocie 280 milionów złotych. Pierwsze półrocze roku bieżącego dało już w obrotach 111.248.000 zł (w tym wyroby P.M.S. —— 45.312.000 zł).

Magazyny Oddziału są skupione w jednym miejscu, ale pojemnością — niedostateczne. Projektowana jest budowa nowych magazynów na terenie dawnego młyna „Społem", zniszczonego przez okupantów niemieckich. Tabor składa się z dwóch samochodów ciężarowych. W najbliższym czasie przydzielony zostanie 3-ci samochód.

Sieć spółdzielni w powiecie jest prawie dostateczna, a nowo obrana Rada Oddziałowa pracuje na prawdę intensywnie. Kierownikiem Oddziału jest Stanisław Mazurek, a jego zastępcą — Marian Bednarczyk. Największą bolączką kierownictwa jest brak odpowiednich pomieszczeń na biura. Dotychczasowe są ciasne i zupełnie nie przystosowane do potrzeb, a przy tym pozbawione światła, albowiem zniszczona przez Niemców miejscowa elektrownia nie została jeszcze odbudowana. (a.) 196

ODDZIAŁ POWIATOWY
w Sieradzu

Oddział Powiatowy „Społem" w Sieradzu, ul. P.O.W. Nr 20, istnieje od połowy kwietnia 1945 r. Posiada Składnicę w Zduńskiej Woli, która w najbliższym czasie przekształcona będzie na Oddział, a już obecnie pracuje samodzielnie, korzystając z uprawnień, przysługujących Oddziałowi. Na terenie powiatu istnieją 33 spółdzielnie spożywców: 23 spółdzielnie zaopatruje w towary Oddział, a resztę obsługuje Składnica.

Oddział prowadzi działy: kolonialno - spożywczy, żelazny i włókienniczy oraz hurtownie: soli, zapałek, wyrobów tytoniowych i drożdży, zatrudniając 39 pracowników.

Biuro i magazyny są zbyt szczupłe i nie odpowiadają potrzebom Oddziału. Rozrzucone magazyny i brak bocznicy kolejowej stwarzają duże trudności transportowe. Projektuje się kupno terenu, zajmowanego obecnie przez Państwową Stację Traktorów i maszyn ze zbiornikami na naftę i benzynę. Pobudowane by tam być mogły nowe magazyny na artykuły masowe, a ponadto znalazłby tam pomieszczenie skład materiałów opałowych. Tabor Oddziału składa się z 2 samochodów ciężarowych i 1 półciężarowego.

Powiat jest chłonny na towary. Zwłaszcza duże zapotrzebowanie jest na tanie artykuły włókiennicze. Sieć spółdzielni jest prawie dostateczna. Nowe spółdzielnie zakłada się tylko na najbardziej przez Niemców zniszczonych terenach poligonu. Oddział jest prawdziwym ośrodkiem życia gospodarczego powiatu i jako taki cieszy się powszechnym uznaniem.

(a)

Udział „Społem" w akcji zsypu zboża z podatku gruntowego

Na ostatniej konferencji prasowej w Ministerstwie Aprowizacji, główny pełnomocnik rządowy do spraw podatku gruntowego w zbożu i ziemiopłodach poinformował przedstawicieli prasy o dotychczasowych wynikach akcji w terenie.

Zsyp zboża zwożonego przez rolników z tytułu podatku gruntowego odbywa się sprawnie we wszystkich województwach pod kierownictwem aparatu „Społem", które oddało na ten cel wszystkie swoje magazyny zbiorcze oraz wyszkolony personel. Dotychczas zwieziono do magazynów przeszło 15 tys. ton zboża.

W dniu 17 października br. przedstawiciele prasy stołecznej wyjadą do jednego z powiatów województwa warszawskiego, aby na miejscu stwierdzić przebieg akcji zsypu zboża.

KRONIKA KULTURALNA

STUKOMINNA, czarna, zła, zadymiona, czerwona, robotnicza proletariacka, bohaterska — i jakich tam jeszcze epitetów nie nadawali Łodzi poeci? Otóż, ta Łódź ma teraz dwie sensacje, doskonale przyrządzane na sposób bulwarowy i, dla podrażnienia apetytu czytelników, umiejętnie dawkowane przez tamtejszy „Express Ilustrowany" Pierwsza sensacja nosi takie tytuły: „Wielki sukces milicji łódzkiej. — Międzynarodowi złodzieje w potrzasku. — Przestępcy grasowali w tramwajach, wycinając kieszenie i rozpruwając teczki z pieniędzmi. — Na czele szajki stały dwie kobiety — Złota Rączka i Felka. — Anglik ofiarą złodziei". Druga sensacja spitraszona jest niemniej pikantnie: „Ratujmy naszą młodzież! — Potworna zbrodnia zdeprawowanego wyrostka. — Młodzi chłopcy i dziewczęta piją, palą i kradną. — Pościg za mordercą. — Zabójca przyznaje się. — Co ty robisz?! — Po zbrodni do kina — SOS! SOS! — O czym opowiadają obydwie sensacje, można się domyślić z tytułów. Jeśli chodzi o „potworną zbrodnię", jest ona rzeczywiście potworna: 15-letni Józef Stefańczyk poderżnął nożem gardło 60-letniej Emilii Korzel, żeby zrabować 2.000 zł, które „wraz ze swymi nieletnimi przyjaciółmi i przyjaciółkami stracił w spelunkach, w oparach alkoholu". „Zbrodnia to tak wstrząsająca"'—pisze „Express"—że „wywarła potężne wrażenie nawet na funkcjonariuszach milicji, ludzi bądź co bądź obytych z najrozmaitszymi tragediami ludzkimi". Jak oczyścić to bagno moralne—pisze dalej z troską „Express" — bagno, w które się pogrąża nasza młodzież, jak ratować jej duszę? Jedno jest tylko wyjście: „Państwo musi pomóc w wychowaniu naszej młodzieży". Biedne to państwo! Wszystko się na nie zwala. Ono będzie pomagać, a tymczasem „Express", bijąc sto tysięcy egzemplarzy dziennie, będzie zgarniał pieniążki — i o dziwo! — właśnie od młodzieży, ona bowiem stanowi żelazne szeregi czytelników „Expressu", zdobyte przezeń dzięki niezmiernie pedagogicznej serii codziennych „Przygód Wicka i Wacka". Przypadek zapewne sprawia, że tuż pod Wickiem i Wackiem ukazują się mrożące krew w żyłach zbrodnie, deprawacje, złodziejstwa, Złote Rączki — a na końcu SOS! SOS!

„**ZARZUCA SIĘ** nam brak realizmu politycznego, giętkości i zdolności do kompromisu, jakie cechują np. Czechosłowację. Postawa Czechów w czasie wojny wobec okupanta jest dla nas dziś bardzo modna jako wzór do naśladowania. Wątpię jednak, czy znalazłoby się dużo Polaków, którzy by zamienili się rolami i przyjęli czeskie obywatelstwo. Ja osobiście wolę gruzy naszej bohaterskiej stolicy, odbudowującej się z takim trudem". — W takich słowach wypowiada swe trzeźwe poglądy polityczne jeden z czytelników w liście do redakcji „Dziś i Jutra" (Nr 40-97). Całe szczęście, że „woli osobiście", a nie przemawia w imieniu narodu. Mimo ten jego wybujały indywidualizm, zacytujmy mu stare polskie przysłowie: „wolej prawdą obrazić, niźli pochlebstwem się przypodobać" — i powiedzmy mu prosto z mostu, że głupi.

ŚWIETNĄ ODPRAWĘ dał Jarosław Iwaszkiewicz w artykule „Słowo podsądnego" („Nowiny Literackie" Nr 31) tym wszystkim swoim krytykom, którzy go opadli po przyznaniu mu nagrody „Odrodzenia". Niesposób streścić jej: tak jest koronkowa, misternie dziergana, wytworna i w górnym stylu utrzymana. Dla ludzi prawdziwie kulturalnych i subtelnych odczytanie jej stanie się ucztą duchową. Ale czy dużo jest dziś takich? Czy są nimi zwłaszcza niektórzy z krytyków Iwaszkiewicza, walący kłonicą, albo — jak sam ich słusznie określa — „perfidni"? Kiedyś tam szarpano Słowackiego, a on wobec swych krytyków był zawsze w rękawiczkach. Dopiero Krasiński udzielił mu dobrej rady: Więcej na świecie wątrób niż serc — powiedział: — pisz tak, żeby zrozumiały wątroby: do kordami i na sejmik! Porąbać, porąbać — a potem ulecieć w błękity!

ST. ŁATKA

SKLEROZA

Prosimy Czytelników o przesyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności.

Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 300.— ZŁ. NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymał Włodzimierz Dybis (Rembertów, Al. Zwycięstwa 24 —4) za nadesłanie kilku wycinków z prasy krajowej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Niewyłączone żelazko elektryczne w pracowni krawieckiej w Al. Sikorskiego 43 zostawiła 19-letnia Władysława Gartan. Gdy wróciła ze spaceru i spojrzała z podwórka w swe okna, ujrzała dobywający się z mieszkania dym i zemdlała. Pożar ugaszono". („Wieczór" Nr 281).

I w „Wieczorze" też ktoś zemdlał: redaktor lub korektorka, skoro powyższa notatka znalazła się w dziale „Odpowiedzi redakcji".

GDZIE DWOCH SIĘ BIJE, TAM TRZECI ZWYCIĘŻA.

W Nr 128 „Przekroju" (21 — 27.IX. 1947 r. zamieszczone jest zdjęcie, a pod nim następujący podpis:

„Drużyny Krakowskich Literatów i Artystów przed spotkaniem piłkarskim, zakończonym zwycięstwem Warszawy (dochód z meczu przeznaczono dla Stolicy) w stos. 5:5 (Fot. Węglowski)".

Krakowscy literaci i artyści walczyli, a zwycięstwo odniosła Warszawa i to w sensacyjnym stosunku 5:5.

REKORD ŚWIATOWY NIE DO POBICIA

W „Tygodniu", tak właśnie w „Tygodniu" w Nr 41 (65) z 12 bm. na stronie siódmej zamieszczono wzmiankę o wynikach sportowych „święta Milicji Obywatelskiej" treści następującej:

„Zatopek, mistrz Europy, długodystansowiec Czechosłowacji startował w Warszawie na stadionie W. P. osiągając czas 2 min. i 4 sek. na dystansie 5 km.".

Rzeczywiście, że tak wspaniały wynik nie mógł ujść uwagi naszych Czytelników. Toteż i korektorka nasza zdziwiła się, kiedy Zatopek biegnąc ten sam dystans w 4 dni później, uzyskał czas zaledwie... 14 min. 22,5 sek. Widocznie morskie powietrze nie służyło mu.

ODKRYCIE AMERYKI

„Dziennik Polski" w Nr 280 (946) zamieścił taką notatkę:

„Wszystkie kraje Ameryki obchodzą w niedzielę 255 rocznicę od krycia Ameryki przez Kolumba".

Jankesi, którzy o wielu rzeczach zapominając i zdradzając wielką ignorancję w dziedzinie historii, szczegół nie po zakończeniu wojny — zapomnieli widać, że Kolumb odkrył Amerykę w 1492 r..

CO ROBILI POLACY?

PIERWSZĄ fermę w głębi Afryki u ujścia rzeki Zambadi założyli wraz Pisulińskim w roku 1886 bracia Stelbeccy Stanisław i Kazimierz.

—o—

Ci sami bracia Stelbeccy nabyli od Murzynów w roku 1891 z prawem suwerenności 500 km kw. obszaru w górach Shize-Highlands w centralnej Afryce.

—o—

Kierownikiem topograficznego oddziału rosyjskiego sztabu generalnego w 1874 roku był geodeta topograf Hieronim Stebnicki.

—o—

Jako znakomity lekarz słynął wzywany do Zygmunta Augusta, Izabelli, królowej węgierskiej i sułtana Solimana II w r. 1542 dr Józef Struś.

—o—

Współtwórcą atlasu Szwajcarii Duffoursa był inż. topograf Aleksander Stryjeński (1813 — 1876).

—o—

Słownik arabski układał generał Józef Sułkowski.

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Powyżej zamieszczamy zagadkę Nr 13. Za rozwiązanie Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 4 listopada br.

Zagadka dwunasta zamieszczona w Nr 41 (65) była dość łatwa i z wyjątkiem czterech osób — wszystkie pozostałe zgodnie orzekły, że ilustracja dotyczyła przysłowia:

„TRAFIŁA KOSA NA KAMIEŃ"

Korzystając więc z tego, że poprzednią zagadkę odgadło zaledwie cztery osoby i części nagród nie została wykorzystana — powiększyliśmy dziś ilość nagród. W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Andrzej Włodarczyk — Łęczyca, ul. Żymierskiego 14.

Tadeusz Bielawski — Kętrzyn, Mazury Oddział „Społem".

Krystyna Ławacz — Końskie, skrz. poczt. 26.

Urszula Krawczykówna — Chojnice (Pomorze) ul. Stalina 14.

Wanda Zbikowska — Mińsk Mazowiecki, ul. Spółdzielcza 7a. Oddział „Społem".

Apolonia Kamińska — Działdowo, ul. Dworcowa 39 (Mleczarnia).

Piotr Kowalczyk — Kolonia i poczta Zakrzew k. Krasnego Stawu.

Jan Nestorowicz — Biała Podlaska, ul. Długa 14.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Ilona Dereń — Kluczbork, ul. Byczyńska 39.

Maria Dolińska — Warszawa, ul. Motorowa 18.

Bodan Bogdanowicz — Kraków, ul. Bonerowska 14 — 17.

Wiktoria Adamiec — Rzeszów, ul. Staroniwa Dolna 160.

Iza Golnik — Gdynia (Sąd Okręgowy — Wydział Karny).

Leszek Szeligowski — Lublin, Dyrekcja Poczt i Telegrafów.

Edward Janczewski — Wrocław, ul. J. Chełmońskiego 21.

Wanda Michalska — Wieprz koło Andrychowa.

Eugeniusz Rudziński — Szczecin, ul. Wielkopolska 22 — 6.

Izabella Żarska — Sędziszów Małopolski, ul. Sapeckiego 1.

Elżbieta Zielińska — Poznań, ul. gen. Świerczewskiego 31 — 25.

Adam Skrzypek — Kielce, ul. Pomorska 64.

Ryszard Smulczyński — Przedmieście Bliższe, poczta Solec nad Wisłą.

Dodatkowo nagrodę książową otrzymała **Danusia Bogdanówna** — Olecko, ul. Gdańska 8 za rozwiązanie zagadki i nadesłanie następującego listu:

Kochany „Tygodniu"

Już czwarty raz piszę do Ciebie. Jedno nasze polskie przysłowie mówi: „Do trzech razy sztuka". Otóż trzy razy szczęście mnie ominęło, a tak bardzo chciałabym otrzymać od Ciebie jakąś ładną i pożyteczną książkę bo teraz takie książki jest bardzo trudno zdobyć, gdyż nasze szkolne biblioteczki są jeszcze zbyt ubogie, a ubocznie to można dostać książki tylko coś w rodzaju a la romans, podobne do książek z literatury rozrywkowej z XVIII w. we Francji. Dlatego też o ile rozwiązanie ilustrowanego przysłowia, zamieszczonego w Nr 41 (65) „Tygodnia" brzmi „Trafiła kosa na kamień" proszę bardzo o nadesłanie książki. Ja chodzę do klasy II (III) gimnazjum Ogólno-Kształcącego w Olecku, mam 13 lat i uczę się nieźle, gdyż na koniec roku przeszłego otrzymałam cenzurę z wynikiem bardzo dobrym, a i w tym roku staram się, żeby gorsza nie była.

Z poważaniem

D. Bogdanówna

Życzymy Ci Danusiu powodzenia w nauce, dziękujemy za miły list i książkę wysyłamy pocztą, tak jak i innym.

I—4766 WARSZAWA, to numer konta „Tygodnia" w P.K.O., a Nr 107 to konto czekowe w Banku Gosp. Spółdz. Oddział Wojewódzki w Warszawie.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na listopad oraz na IV kwartał br. oraz o wpłacanie zaległej prenumeraty za „Tydzień" na jedno z tych kont, celem uniknięcia przerwy w dostarczaniu pisma.

VI KONKURS „TYGODNIA"

na rozrywki umysłowe

W numerze 37 (61) „Tygodnia" rozpoczęliśmy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia". Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

1 2 3 4 5 6 7

A B C D E F G

(Egzamin z geografii)

ul. Puma.

Znaczenie wyrazów poziomych.

A. 1 — miasto w Hiszpanii; B. 1 — rzeka w Austrii; B. 6 — miasto w Bułgarii; C. 3 — pustynia w Indiach; D. 1 — wyspa około Singapore; D. 5 — rzeka na Ukrainie; E. 3 — rzeka, dopływ Amuru; F. 1 — miasto w kraju Amurskim; F. 6 — rzeka w Indiach; G. 1 — port w Jugosławii.

Znaczenie wyrazów pionowych.

A. 1 — miasto w Uzbekistanie; 2. A. — miasto w Iranie; 2. F. — miasto w Iranie (wspak); 3. C — jezioro w Turcji; 4. A. — rzeka w Syberii (dopływ Leny); 4. E. — rzeka w Hiszpanii; 5. C. — miasto w Hiszpanii; 6. A. — rzeka w Afryce; 6. F. — rzeka w Polsce 7. A. — miasto w Kazachstanie.

REBUS

ul. W. Wołoszyńska

OFIARY

Pracownicy „Społem", przebywający na II turnusie wypoczynkowym, w Polanicy — Zdroju z okazji „Dnia Spółdzielczości" złożyli za pośrednictwem naszej Redakcji — 4.885 złotych na Odbudowę Warszawy.

*

Ludwik Jasiński (Łódź) złożył 500 zł na budowę pomnika Ignacego Daszyńskiego.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Redaguje: Zespół redakcyjny.
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8.
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY: Redakcji 86-164
Administr. 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna—450 zł, roczna 900 zł.
Konto PKO Warszawa Nr I-4766
Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej.
R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa, Smolna 12. B-39358

REPORTAŻ FOTOGRAFICZNY

JAK BRZOZA ZAMIENIA SIĘ NA KOŁEK SZEWSKI

(Fot. Szeliga)

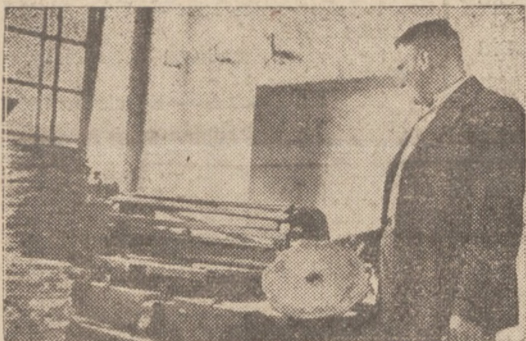
Z FABRYKI KOŁKÓW SZEWSKICH, KOPYT I PRAWIDEŁ DO BUTÓW, SZCZOTEK I INNYCH WYROBÓW DREWNIANYCH „SPOŁEM" W BIAŁEJ PODLASKIEJ



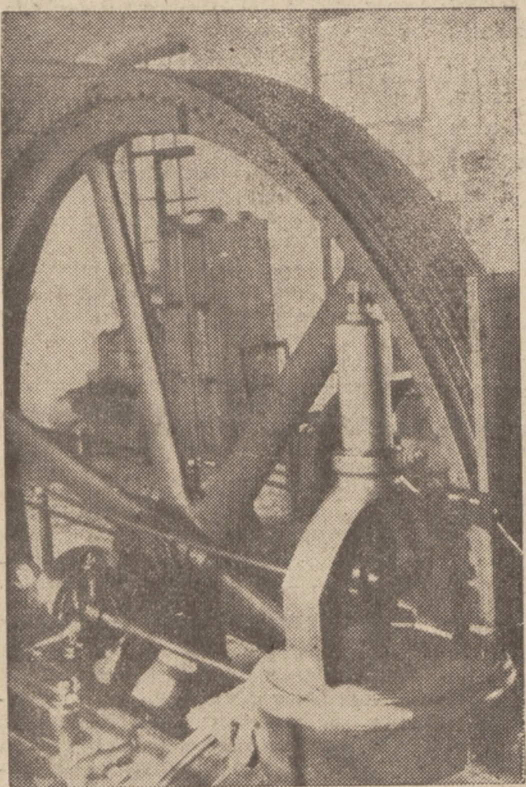
Wyładowywanie brzozowych kloców w fabryce.



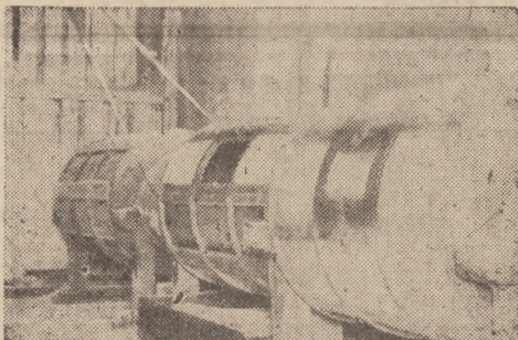
Maszyna tnie kloce na krążki o grubości równej kołka szewskiego.



Krążki drewniane zbutwiałe, nienadające się do produkcji, odrzuca się.



Serce fabryki — maszyna opalana wyłącznie odpadkami produkcji. Fabryka „odżywia się" własnymi odpadkami.



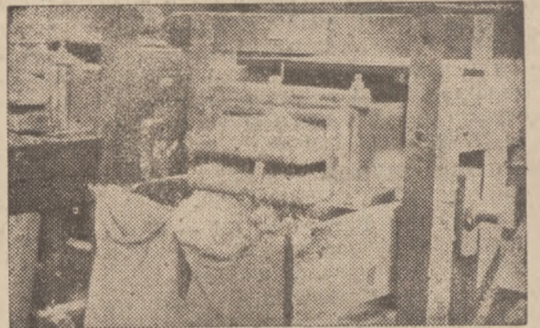
W obracających się bębnach kołki ulegają szlifowaniu.



Na cokole pomnika Wdzięczności na Pradze w Warszawie ustawiono nowy odlew brązowy zamiast dotychczasowego gipsowego.



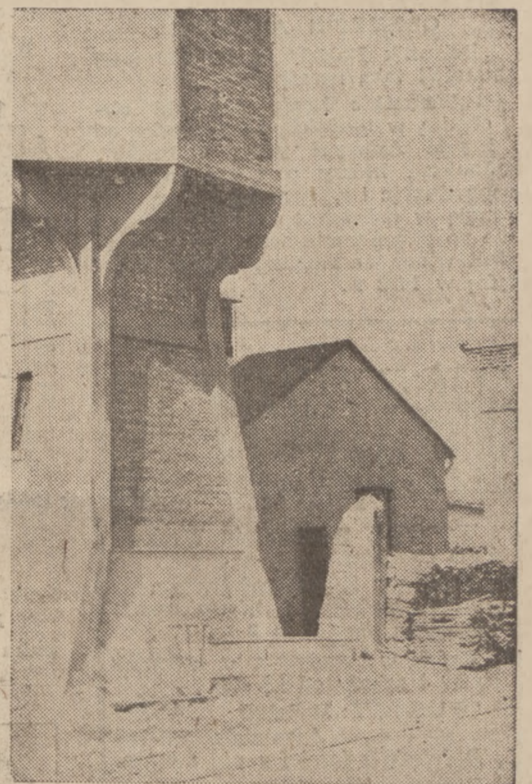
Tak wygląda krążek brzozowy po rozbiciu go na kołki, które jeszcze trzymają się ze sobą. Podobny jest do jeża.



Maszyna automatycznie segreguje kołki, wrzucając do jednego worka zdatne do użytku, do drugiego — odpadki.



Skrzynie z gotowymi do wysyłki kołkami.



Skacząca wieża. Wieża ciśnień na terenie fabryki w 1914 roku została wysadzona w powietrze. Podskoczyła do góry i... osiadła z powrotem. Po tym wypadku jest o parę metrów niższa, jednak pracuje już przez 33 lata bez zarzutu.